

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

SZKARŁATNA DŻUMA

Jack London

Droga wiodła wzdłuż tego, co było ongiś nasypem kolejowym. Lecz od lat wielu nie przeszedł tędy żaden pociąg. Las z obu stron wspiał się na boki usypiska i skrzyżował ponad nim zieloną falę drzew i krzewów. Ścieżka była wąska jak ciało człowieka, chociaż służyła raczej krokom zwierzyny. Widoczny niekiedy spośród traw i mchu kawał zardzewiałego żelaza wskazywał, że szyny pozostały jeszcze. W jednym miejscu spore drzewko wytrysnę na ich złączeniu uniosło ku górze jeden koniec żelaziwa. Podkład poszedł widocznie w ślad za szyną i wisiał przy niej tak długo, że w jego pustym łożysku zebrał się piach i zgnite liście. Spróchniałe drewno sterczało dziwnie. Lecz nawet te skąpe szczątki świadczyły wyraźnie, że kolej musiała być ongiś typu jednoszynowego.

Ścieżyną wędrowali starzec i chłopiec. Posuwali się wolno, starzec był bowiem bardzo sędziwy. Ruchy drżących nóg, wspieranych kijem, zdradzały Już pierwsze dotknięcie paraliżu. Prosta czapa z koźlej skóry chroniła głowę przed słońcem. Spod czapy zwisały kudłate wiechcie brudnobiałych włosów. Daszek, sklecony pomysłowo z szerokiego liścia, osłaniał oczy i ułatwiał badania drogi. Broda, spadająca aż do pasa skłębionymi smugami, byłaby zapewne śnieżnobiała, gdyby nie dymy ognisk i igraszki pogody. Z ramion i piersi zwisał skąpy kawał koźlej skóry. Ręce i nogi, o skórze zniszczonej i spalonej, pełnej zmarszczek i blizn, zdradzały wiek nader podeszły oraz długie lata walki z żywiołami natury.

Chłopak, idący naprzód i hamujący sprawność młodych mięśni ku powolnym krokom starca, odziany był również w pojedynczy kawał skóry niedźwiedziej, poszarpanej na końcu i rozciętej u góry w spory otwór dla głowy. Nie mógł mleć chyba więcej nad lat dwanaście. Zatknięty za uchem, telepał mu się kokieteryjnie świeżo obcięty ogon prosiaka. Młodzik niósł w ręku średniej wielkości łuk i strzałę, na plecach zaś kołczan pełen strzał. Z pochwy, zawieszanej na pleciance u szyi wystawała zniszczona rękojeść myśliwskiego noża. Chłopak był brązowy jak orzech i stąpał ostrożnie, z lekkością nieomal kocią. Jaskrawy kontrast ciemnej skóry stanowiły oczy — niebieskie, mocno niebieskie, lecz czujne i tak ostre jak para świdrów. We wszystkim, co napotkały, zdawały się wiercić natychmiast i nieodzwrotnie idąc, węszył bez przerwy, a rozdęte, drżące nozdrza, zdawały się nieść jego mózgowi niezliczone wieści ze świata. Słuch miał też wyostrzony niczym nóż i działający z automatyczną sprawnością. Bez świadomego wysiłku chwycił uchem najlżejszy dźwięk w pozornej ciszy, chwycił, oddzielał i rozróżniał — czy to wiatr szeleści liśćmi, czy brzęczą pszczoły lub komary, czy w oddali gra echo morza, bijącego sennie o brzeg, czy też kret, tuż pod nogą, szufluje ziemię u wejścia do swej norki.

Nagle chłopak nastroszył się czujnie. Dźwięk, obraz, widok i woń przesłały mu równocześnie ostrzeżenia. Mała ręka sięgnęła wstecz i dotknęła starca. Obaj przystanęli. Przed nimi, z jednej strony nasypu, rozległ się suchy trzask. Chłopiec utkwiał oczy w wierzchołkach rozkołysanych krzaków. W parę sekund później ogromny bury niedźwiedź wylazł z trzaskiem z gęstwiny i dostrzegłszy ludzi zatrzymał się równie nagle iak owi ludzie. Ryknął groźnie — nie lubił tych stworzeń. Chłopak z wolna przyłożył strzałę do łuku i z wolna napinał cięciwę. Żrenic nie spuszczał z niedźwiedzia. Starzec spojrział w oczy niebezpieczeństwu spod swego zielonego listka i stanął nieruchomo jak chłopak. Przez kilka chwil trwało wzajemne badanie się stron: wreszcie niedźwiedź okazywać począł rosnące zniecierpliwienie, chłopak zaś ruchem głowy nakazał starcowi, żeby ustąpił z drogi i szedł z nasypu. Chłopak cofnął się również, wciąż trzymając łuk w napięciu i gotowości. Czekali, aż trzask gałęzi po drugiej stronie nasypu da znać, że niedźwiedź się cofnął. Chłopak skrzywił się w uśmiechu, wracając na nasyp.

— Duża bestia, Dziadku! — mruknął. Stary pokiwał głową.

— Niedźwiedzie grubieją z każdym dniem — zalić się zaczął cienkim, jakby niezależnym od niego samego, fal setem. Kto by pomyślał, że dożyję czasów, kiedy człowiek może się znaleźć w niebezpieczeństwie na drodze do Cliff House. Kiedy byłem małym chłopcem, Edwin, mężczyźni, kobiety i dzieci przyjeżdżali tu setkami i tysiącami z San Francisco na spacer przy pięknej pogodzie. Nie było tu żadnych niedźwiedzi. Nie, mój panie. Płacono pieniądze za to, żeby zobaczyć niedźwiedzia w klatce — taką byty rzadkością.

— Co to jest „pieniądze“, Dziadku? — Zanim starzec zdążył odpowiedzieć, chłopak coś sobie przypomniał, sięgnął ręką pod niedźwiedzią skórę i z ukrytej tam zapewne kieszeni wyjął zniszczony i brudny srebrny dolar. Oczy starca zalśniły, kiedy podniósł ku nim monetę.

— Nie widzę — mruknął. — Ty zobacz jaka data, Edwin. Chłopak parsknął śmiechem.

— Ty jesteś zabawny, Dziadku! — wołał rozbawiony — zawsze ci się wydaje, że te znaki coś wyrażają. Twarz starca zasępiła się zwykłą troską, kiedy podniósł znowu monetę do własnych słabych źrenic.

— 2012 — załkał i bełkotać zaczął jakieś dziwaczne rzeczy: — To rok, w którym Morgan Piąty wybrany został z partii Magnatów na Prezydenta Stanów Zjednoczonych. To jedna z ostatnich odbitek, bo Szkarłatna Śmierć nadeszła w roku 2012. Boże! Boże! Pomyśleć tylko! Dopiero sześćdziesiąt lat minęło od tego czasu — i już tylko ja jeden pozostałem na świecie spośród tych, którzy żyli wówczas. Gdzie to znalazłeś, Edwin?

Chłopak, który przyglądał się dziadowi z pobłażliwą ciekawością, jakiej się udzielać zwykło istotom niespełna rozumu — odpowiedział natychmiast.

— Dostałem od Hoo-Hoo. On znalazł koło San Jose, kiedy pogonił tam kozy zeszłej wiosny. Hoo-Hoo powiedział, że to „pieniądz“. Niegłodny jesteś, Dziadku?

Stary mocniej ujął laskę i przyspieszył kroku. Oczy błysnęły mu pożądliwie.

— Mam nadzieję, że Zajęcza Warga złowił kraba... może nawet dwa kraby — wybełkotał. — Kraby to dobre jedzenie, doskonałe jedzenie, kiedy się już nie ma zębów, ale za to ma się wnuków, którzy kochają swego dziada i starają się łowić dla niego kraby. Kiedy byłem chłopcem...

Lecz Edwin stanął jak wryty; dostrzegł coś widocznie, bo gwałtownie napiął cięciwą luku na gotową strzałę. Zatrzymał się no brzegu wyrwy w nasypie.

Wymył ją jakiś dawny nurt podziemny, teraz zaś, nie kryjąc się już dłużej, płynął tędy maleńki strumyczek. Po przeciwnej stronie wystawał i zwisał koniec szyny, rdzawiący się pośród bujnej zieleni. Nad szyną kucnął pod krzakiem królik i cały drżący z niepewności spoglądał ku ludziom. Odległość wynosiła pełne pięćdziesiąt stóp, lecz strzała śmignęła celnie. Przeszyty królik, skamłąc z bólu strachu, próbował całym wysiłkiem odpelznąć w głąb krzaków. Chłopak — jak błyskawica brązowej skóry i polotnego futra — rzucił się w wyrwę i wspiał na jej drugą stronę. Jego suche mięśnie były niczym stalowe sprężyny, które zmiękły nagle we wdzięcznym a łatwym ruchu.

O sto kroków dalej w gąszczu krzewów chłopak schwycił królika, roztrzaskał mu łeb o wygodny po temu pień i podał zdobycz dziadkowi, żeby ją niósł.

— Królik jest smaczny, bardzo smaczny — mamlął starowina — ale kraby są delikatniejsze dla starych zębów. Kiedy byłem chłopcem...

— Dlaczego mówisz tyle rzeczy, które nie mają sensu? — Edwin przerwał niecierpliwie nudny bełkot.

Właściwie chłopak nie wypowiedział tych właśnie słów, tylko szereg dźwięków podobnych, lecz bardziej gardłowych, poszarpanych i oszczędnych. Mowa jego przypominała nieco mowę starca, ta ostatnia *zaś* była językiem angielskim, zniekształconym przez pospolitość użycia.

— Chciałbym wiedzieć — ciągnął Edwin — dlaczego nazywasz kraby „delikatесami“? Krab jest krabem — no nie? Nigdy nie słyсzałem, żeby inni mówili takie głupstwa.

Stary westchnął, ale nic nie odpowiedział i dalej szli w milczeniu. Przyptyw zahuczał głośnieј, gdy wyszli z lasu na piaszczyste ławice okalające morze. Po skąpych wzgórkach wałęsało się kilka kóz strzeżonych przez chłopaka odzianego w skóry i przez psa wilczura, z lekka tylko przypominającego owczarka. Z rykiem przyptywu mieszało się gardłowe, ochryple poszczekiwanie dochodzące spośród zwałу poszarpanych skał, wznoszących się w morzu o dobre sto jardów od brzegu. Ciskały tam swe cielska wielkie lwy morskie, grzejące się w słońcu lub zaba wiające bójką. Na przednim planie wyrastał słup dymu z ogniska podsycanego przez trzeciego chłopaka dzikusа.

Starowina przyśpieszył kroku, pochrapując łakomie na widok ogniska.

— Muszle! — bełkotał w zachwycie. — Muszle! A czyż to nie krab, Hoo-Hoo? Czyż to nie krab? Aj, aj, chłopaki są dobre dla swego starego dziadka.

Hoo-Hoo, mający zapewne tyleż lat co Edwin, wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu.

— Ile tylko zechcesz, Dziadku. Złapałem cztery. — Uszczęśliwiona skwapliwość starowiny była godna litości. Usiadł tak szybko, jak tylko pozwoliły sztywne kolana, i chwycił dużą muszlę skalną spomiedzy węgli ogniska. Muszla rozwarła się od gorąca i różowawe mięso jej wnętrza było teraz na pół ugotowane. Stary, drżąc z pośpiechu, chwycił przysmak w dwa palce i niósł do ust. Ale małż był za gorący i w następnej chwili został równie gwałtownie odrzucony. Starowina aż krztusił się z bólu i łzy spływały mu po policzkach.

Chłopcy byli prawdziwymi dzikusami, obdarzonymi okrutnym poczuciem humoru dzikich ludzi. Wypadek starego wydał im się tak szalenie zabawny, że wybuchnęli głośnym śmiechem. Hoo-Hoo tańczył i podskakiwał, Edwin tarzał się po piasku. Pastuszek kóz biegł, co miał sił, żeby przyłączyć się do uciechy.

— Wyjmij je z ognia, Edwin, i połóż na ziemi — zatroszczył się stary, pośród swej rozpaczы zapomniawszy nawet o otarciu łez. — Ochłódź też kraba, Edwin, ochłódź kraba. Wiesz, że dziadek lubi kraby.

Pośród węgli rozległ się wielki syk. To muszle rozwarły się wszystkie naraz i wilgoć kapać z nich zaczęła na żar. Były to wielkie muszle, długości trzech do sześciu cali. Chłopcy wypchnęli je kijami z ogniska i położyli ostrożnie na dużym kawałku drzewa, wyrzuconym przez fale.

— Kiedy byłem małym chłopcem, dzieci nie miały zwyczaju wyśmiewać się ze starszych; szanowały starszych.

Chłopaki nie zwrócili na te słowa uwagi, starowina zaś bełkotał dalej całą litanię skarg i osądów. Lecz tym razem był już ostrożniejszy i nie poparzył ust. Wszyscy zabrali się do jedzenia, używając do tej czynności palców i głośnie mlaskając językiem i wargami. Trzeci chłopak, zwany Zajęczą Wargą, chytrze wsypał garstkę piasku do muszli, którą dziadek właśnie podnosił do ust; kiedy zaś twardy żwirek kąsać począł bezzębne džiaśta starego — malcy pokładali się ze śmiechu. Dziadek nie wiedział, że z niego żartowano, odchrząkiwał więc i spluwał, dopóki Edwin, uspokoiwszy się na chwilę, nie podał mu tykwy z wodą, żeby przepłukał usta.

— Gdzie są kraby, Hoo-Hoo? — zagadnął Edwin. — Dziadek szykował się na ucztę.

Oczy starowiny znowu zapłonęły chciwością, kiedy podano mu dużego kraba. Skorupa i nogi były na pozór nienaruszone, ale całe mięso dawno zostało wyjęte. Drżącymi palcami, bełkocąc z łakomstwa, starowina odłamał jedną nogę — ale przekonał się, że jest pusta.

— Kraby, Hoo-Hoo? — zaskomlał. — Kraby?

— Nabierałem, dziadku. Nie ma krabów. Nie znalazłem.

Chłopców ogarnęła niepohamowana radość na widok łez gorzkiego zawodu, spływających po

twarży staruszka. Potem Hoo-Hoo niepostrzeżenie położył na miejscu pustej skorupy świeżo ugotowanego kraba. Był już rozczłonkowany, białe, przerażone mięso słało obłok smakowitej, wonnej pary.

Uderzyła ona w nozdrza starowiny i przyciągnęła jego oczy. Natychmiast płacziwy humor zmienił się w niepohamowaną wesołość. Dziadek zachrzakał, zaseplenił, zamruczał — warczał wprost z rozkoszy pożerania. Chłopcy nie zwrócili na to najmniejszej uwagi, był to bowiem widok zwykły. Nie zauważyli też urywanych okrzyków i poszarpanych zdań, rzucanych przez starego podczas jedzenia. Nie rozumieli bowiem, o czym mówił właściwie. „Sos majonezowy! Pomyśleć tylko — sos majonezowy! Od sześćdziesięciu lat nie przyrządzano go już na świecie ! Dwa pokolenia już go nie kosztowały. A w tamtych czasach podawano go do homara w każdej restauracji“.

Kiedy nie mógł już jeść więcej, starowina wytarł ręce o nagie uda i zapatrzył się w morze. Wraz z zadowoleniem pełnego żołądka napływały wspomnienia i skłonność do rozrzewnień.

— Pomyśleć tylko ! Widywałem tę samą zatokę pełną ludzi ! Pełną mężczyzn, kobiet i dzieci i w każdą pogodną niedzielę. I nie było niedźwiedzi, które by im groziły. Tu zaraz na tej skale była ogromna restauracja, gdzie mogłeś dostać wszystko, czegoś zapragnął. San Francisco miało wówczas cztery miliony mieszkańców. A teraz, w całej okolicy, i na miejscu dawnego miasta nie mieszka więcej nad czterdziestu ludzi. Tu na morzu zawsze widać było okręty — mnóstwo okrętów — wchodzących i wychodzących przez Złote Wrota. Powietrze pełne było aeroplanów, balonów i innych maszyn latających. Robiły dwieście mil na godzinę. Poczta i komunikacja pasażerska pomiędzy New Yorkiem a San Francisco wymagała tej szybkości jako minimalnej. Był pewien spryciarz, Francuz — zapomniałem nazwiska — który umiał robić po trzysta; ale to zbyt ryzykowna wyprawa dla osób zacofanych. Francuz zresztą był już na dobrej drodze, i przyzwyczajono by się do tej szybkości, gdyby nie Wielka Zaraza. Kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, żyli ludzie, pamiętający pierwsze aeroplany. A ja przeżyłem ostatni. Ostatni — sześćdziesiąt lat temu. — Starowina paplał dalej, nie zachęcany przez chłopców, którzy nawykli już do tych jego gawęd, w których zresztą nie rozumieli połowy słów. Za to mowa starego w tych wspominkach właśnie nabierała cech poprawniejszej angielszczyzny w doborze słów i budowie zdań. Kiedy zaś mówił z chłopcami, wpadał przeważnie w ich żargon.

— Krabów niewiele było w owych czasach — ciągnął staruszek. — Zostały wyłapanie, uważano je bowiem za wielki przysmak. Zresztą, wolno je było łowić tylko przez jeden miesiąc w roku. Teraz mieć można kraby przez cały okrągły rok. Pomyśleć tylko! Wolno łowić kraby zawsze i w każdej ilości — i to gdzie? W zatoce Cliff House!

Nagły zamęt pośród kóz porwał chłopców na równe nogi. Psy leżące przy ognisku ruszyły ku swym towarzyszom gwałtownie warczącym przy stadzie, kozy zaś śpieszyły skwapliwie ku swym opiekunom — ludziom. Z pół tuzina chudych, siwych bestii wypełzło spoza piaszczystych wzgórz i zbliżało się ku psom. Edwin wypuścił strzałę, która nie doleciała. Za to Zajęcza Warga wyrzucił ku napastnikom kamień z takiej samej procy, z jaką Dawid wyszedł przeciw Goliatowi. Kamień gwizdnął w szybkim locie i padł prosto w stado wilków, zmuszając je do cofnięcia się w ciemną głąb eukaliptusowego gaju.

Chłopcy roześmieli się i legli znowu spokojnie na piasek, starowina *zaś* wzdychał zamyślony. Zjadł za dużo. Teraz więc tylko skrzyżował ręce na brzuchu i przeplótłszy palce, gaworzył dalej.

— „Wszystko jest marność, puch i wiatru gonienie“ — zamruczał coś, co widocznie było cytata. Tak jest, „puch i wiatru gonienie“. Cała praca ludzi na tej kuli ziemskiej była również tylko wiatru gonieniem. Oswoili jedne zwierzęta, wytępiłi inne, oczyścili ziemię z dzikiej roślinności. Wreszcie — przeminęli sami. Wtedy potok pierwotnego życia buchnął znowu i zmiótł precz dzieła rąk

ludzkich; zielska i puszcze zarosły pola, drapieżne zwierzęta wróciły na dawne leża i oto wilki przechadzają się nad podmiejską zatoką Cliff House. — Oszołomiła go własna myśl. — Tam gdzie mieszkało cztery miliony ludzi — wyją dziś wilki i dzicy potomkowie cywilizacji bronią się za pomocą najpierwotniejszych narzędzi przed napadami uźębionych drapieżców. Pomyśleć tylko! I wszystko przez Szkarłatną Śmierć“.

Przymiotnik wpadł w ucho chłopca, zwanego Zajęczą Wargą.

— On to ciągle powtarza! Co to znaczy „szkarłatna?“

— „Szkarłat klonów wstrząsa mną niby okrzyk rogów myśliwskich... — cytował coś starowina.

— Szkarłatny, to znaczy czerwony — odpowiedział Edwin na pytanie Zajęcej Wargi. — Ty o tym nie wiesz, bo pochodzisz ze Szczepu Szoferów. Oni nigdy nic nie wiedzą. Ale szkarłatny, to czerwony — ja wiem.

— Czerwony, to czerwony, może nie? — burknął Zajęcza Wargą. — Więc po co udawać głupiego i mówić „szkarłatna?“

— Dziadku! Po co zawsze mówisz tyle rzeczy, których nikt nie rozumie? — zapytał. — Szkarłatna, to jest nic, a czerwona, to czerwona. Więc czemu nie powiesz „czerwona?“

— „Czerwona“ to nie jest w tym wypadku odpowiednie słowo — brzmiała odpowiedź. — Tamta dżuma była właśnie szkarłatna. Twarz i całe ciało stawało się szkarłatne w przeciągu godziny. Czyż nie wiem? Czyż nie dość tego widziałem? I powiadam wam, że była szkarłatna, no bo była i koniec. Nie ma na to innego słowa.

— Mnie wystarczy „czerwona“ — mruknął uparcie Zajęcza Wargą. — Mój ojciec nazywa czerwone „czerwone“, a on *na* pewno dobrze wie. Mówił, że wszyscy umarli na „Czerwoną Śmierć.“

— Twój ojciec jest sobie pospolitym człowieczyńą, pochodzącym od równie pospolitego człowieczyńy — wybuchnął dziadek. — Czyż nie znam pochodzenia Szoferów? Dziad wasz, założyciel waszego plemienia, był szoferem, sługą, człowiekiem bez wykształcenia. Pracował dla tych, którzy mu płacili. Za to wasza babka była ze znakomitej rodziny, niestety jednak dzieci nie do niej są podobna. Czyż nie pamiętam, jak spotkałem ich po raz pierwszy po katastrofie? Łowili ryby u jeziora Temescal.

— Co to znaczy „wykształcenie“? — zagadnął Edwin.

— To znaczy mówienia „szkarłatne“ na to, co jest „czerwone“ — zgrzytnął Zajęcza Wargą, po czym znowu zaatakował Dziada, — Mój ojciec mówił, a wiedział to od swego ojca, że twoja żona była z plemienia Santa Rosa i że była nikim. Mówił też, że była „kuchtą“ przed Czerwoną Śmiercią, chociaż ja nie wiem, co to znaczy „kuchta.“ Może ty wiesz, Edwin?

Ale Edwin potrząsnął głową na znak nieświadomości.

— Tak, to prawda, była kelnerką — potwierdził Dziadek. — Była jednak przede wszystkim dobrą kobietą. Wasza matka jest jej córką. Kobiety były wielką rzadkością w owych czasach po Dżumie, Nie mogłem znaleźć innej kobiety, chociaż ta była rzeczywiście „kuchtą“, jak powiada wasz ojciec. Ale to nieładnie wyrażać się lekceważąco o swoich przodkach.

— Ojciec opowiadał, że żona pierwszego Szofera była „lady“.

— Co to jest „lady“? — zapytał Hoo-Hoo.

— „Lady“ to jest niewolnica Szofera — brzmiała skwapliwa odpowiedź Zajęcej Wargi.

— Pierwszym z plemienia Szoferów był Bill, człek bardzo pospolity, jak już mówiłem — tłumaczył staruszek — ale żona jego była wielką damą. Przed Szkarłatną Dżumą była ona żoną pana Van Warden, Prezesa Izby Magnatów Przemysłu, jednego z dwunastu ludzi rządzących Ameryką. Majątek jego oceniano na miliard osiemset milionów dolarów, czyli takich oto monet, jak to, którą

Edwin ma w kieszeni. Aż nagle nadeszła Szkarłatna Śmierć i żona Van Wardena została żoną Billa, szofera. Bił ją często. Sam widziałem,

Hoo-Hoo, rozciągnięty na brzuchu i leniwie grzebiący w piasku palcami nóg, krzyknął nagle i badać zaczął najpierw paznokieć wielkiego palca u nogi, potem dołek wyżłobiony w piasku. Pozostali dwaj chłopcy pobiegli zaraz i ryć zaczęli w piasku pośpiesznie, aż wydobyli na jaw trzy szkielety. Dwa należały zapewne do wyrostków, jeden do małego dziecka. Stary przykuśtykał również i przyglądał się znalezionym dziwom.

— Ofiary Dżumy — oświadczył. — Ostatnimi dniami umierali jak muchy. Gdzie padali, tam konali. To zapewne rodzina, która chciała uciec od zarazy i zginęła tu, nad zatoką Cliff House. Zapewne... — ale co ty robisz, Edwin?

Pytanie rzucone zosłało w nagłym przerażeniu. Edwin bowiem wyłuskiwał już za pomocą scyzoryka zęby z wykopanych czaszek.

— Nawlekę te zęby — brzmiała odpowiedź. Chłopcy już świata nie widzieli poza tą robotą. Dłubali, uderzali, łupali — Dziadek zaś mrucał, zupełnie nie zauważony.

— Jesteście prawdziwe dzikusy. Znowu zaczyna się zwyczaj noszenia ozdób z zębów ludzkich. W następnym pokoleniu poprzekłuwacie sobie nosy i uszy, żeby nosić ozdoby z kości i muszel. Ja wiem. Gatunek człowieczy skazany został raz jeszcze na zejście w ciemna głąb pierwotności, zanim rozpocznie znowu swój krwawy pochód ku cywilizacji. Kiedy się rozmnożymy i odczujemy brak miejsca, weźmiemy się do zabijania swoich braci. I wtedy zapewne będziemy ozdabiać się skalpami wrogów, jak to już zaczęłaś ty, Edwin, najszlachetniejszy spomiędzy moich wnuków, zawiesiwszy sobie za uchem ten ohydny ogon świni. Wyrzuć to, Edwin, mój chłopcze, wyrzuć to!

— Co on tam znów miamle ten stary niedojda? — zauważył Zajęcza Warga, kiedy po wyrwaniu ostatniego zęba rozpoczęło się dzielenie zdobyczy.

Szybcy byli i gwałtowni w każdej czynności i w każdym słowie, toteż mowa ich w chwilach gorętszej zwady o każ dy upragniony ząb przechodziła w istny bełkot. Mówili wtedy monosylabami i krótkimi szarpanymi zdaniem, które stanowiły raczej gwarę niż język. A przecież błyskały w niej od czasu do czasu szczątki jakiejś gramatyki i nikłe ślady minionej wyższej kultury. Nawet mowa starca tak była zepsuta, że, przytoczona dosłownie, wydałaby się czytelnikowi nonsensem. Lecz mówił tak wtedy tylko, gdy zwracał się do wnuków. Kiedy zaś rozpędził się w paplaninie dc siebie samego, wsiąkał z wolna i niepostrzeżenie w czystą angielszczyznę. Zdania stawały się dłuższe i wypowiedane były takim rytmem i tonem, jak wykłady z katedry.

Opowiedz nam o Czerwonej Śmierci, Dziadku — poprosił Zajęcza Warga, kiedy afery zębowa została zadowolająco ukończona.

— Szkarłatnej Śmierci — poprawił Edwin.

— I nie wylewaj na nas całej swojej dziwacznej mowy — żądał dalej Zajęcza Warga. — Mów z sensem, Dziadku, jak powinien mówić członek plemienia Santa Rosa. Inni nie mówią tak, jak ty.

Staremu oczywiście podobała się prośba wnuków. Odchrząknął i zaczął:

— Dwadzieścia lub trzydzieści lat temu wszyscy pragnęli usłyszeć moje opowiadanie, ale teraz to jakoś nikogo nie interesuje...

— Już zaczynasz! — krzyknął gniewnie Zajęcza Wargo. — Skróć już te głupstwa i od razu mów po ludzku. Co to znaczy „interesuje“? Mówisz jak małe dziecko, sam nie wiesz co!

— Zostaw go, daj mu spokój — uspokajał Edwin. — Rozzłości się i wcale nie będzie mówił. Udawaj, że nie słyszysz tych głupich kawałków. Coś niecoś przecież zrozumiemy.

— No, no, zaczynaj, Dziadku — zachęcał Hoo-Hoo, bo staruszek zaczął właśnie bełkotać coś o braku szacunku dla starszych i o powrocie do okrucieństwa całej ludzkości, która stoczyła się z wyżyn kultury ku prywitywowi życia.

Opowieść rozpoczęła się wreszcie.

— Mnóstwo ludzi żyło w owych czasach na świecie. Samo miasto San Francisco miało cztery miliony mieszkańców...

— Co to znaczy „miliony“? — przerwał Edwin. Dziadek spojrzał ku niemu z dobrocią.

— Wiem, że umiesz liczyć tylko do dziesięciu, ale spróbuję ci wytłumaczyć. Podnieś obie ręce. U obu masz razem dziesięć palców. Doskonale. Teraz biorę to oto ziarenko piasku — trzymaj je, Hoo-Hoo. — Położył ziarenko piasku na dłoni chłopaka. — Patrzcie, niech to ziarenko piasku zastąpi dziesięć palców Edwina. Dodam jeszcze jedno ziarenko. To znaczy jeszcze dziesięć palców. Dodam jeszcze jedno i jeszcze, i jeszcze, aż dodam tyle ziarenek, ile Edwin ma palców. Teraz mamy to, co nazywa się „sto“. Zapamiętajcie to słowo: „sto“. Teraz kładę ten kamyk na dłoń Zajęczej Wargi. Niech nam oznacza dziesięć ziarenek piasku, dziesięć razy po dziesięć palców, czyli sto palców. Położę tu dziesięć kamyków. Zastąpią nam one „tysiąc“ palców. Biorę teraz muszlę, która niech nam oznacza dziesięć kamieni albo sto ziarenek piasku, albo tysiące palców.

I tak dalej, pracowicie, powoli, z wysiłkiem walczył stary o zbudowanie w małych mózgach dzikusów elementarnego pojęcia liczby. W miarę wzrostu liczb kazał chłopcom używać coraz to innych przedmiotów do uplastycznienia rachunku. Rozkładał je na dużym pniu, wyrzuconym przez fale. Wreszcie do milionów musiał biedak użyć zębów z owych wykopanych czaszek, zaś skorupy kraba do miliardów. Wreszcie przestał, bo chłopcy okazywać zaczęli znużenie.

— Otóż w San Francisco mieszkało cztery miliony ludzi — cztery zęby.

Oczy chłopców przesunęły się z wolna po zębach, muszlach, kamieniach i ziarenkach piasku aż ku palcom Edwina. I znowu z powrotem, starając się całym wysiłkiem schwytać wyobrażenie tych niepojętych liczb.

— To... to było bardzo dużo ludzi, Dziadku — zaryzykował wreszcie Edwin.

— Niczym piasku na wybrzeżu, niczym piasku na wybrzeżu, gdyby każde ziarenko było mężczyzną, kobietą lub dzieckiem. Tak, tak, moi chłopcy, całe to mnóstwo ludzi mieszkało tu, właśnie tu, w San Francisco. Od czasu do czasu wszyscy ludzie zbierali się nad tą właśnie zatoką — więcej ludzi niż piasku. Więcej — więcej — więcej.

San Francisco było wspaniałym miastem. Zaś po drugiej stronie zatoki, gdzie obozowaliśmy zeszłego roku, mieszkało jeszcze więcej ludzi, zaraz za Point Richmond, na równinach i na wzgórzach, przez całą drogę aż do samego San Leandro — drugiego wielkiego miasta, które miało aż siedem milionów mieszkańców. Siedem zębów... ot, tak, połóżcie tu siedem milionów.

Znowu spojrzenia chłopców przesunęły się z wolna tam i z powrotem od palców Edwina aż ku zębom leżącym na dużym pniu.

— Świat był pełen ludzi. Spis ludności całej ziemi na rok 2010 dał liczbę ośmiu miliardów, osiem skorup kraba, tak, dobrze, osiem miliardów. Nie tak jak dzisiaj. Ludzkość miała też mnóstwo sposobów zdobywania żywności. I im więcej było żywności, tym więcej rozmnażali się ludzie. W roku 1800 w samej Europie było tylko sto siedemdziesiąt milionów. W sto lat później — ziarnko piasku, Hoo-Hoo — w sto lat później — w 1900 roku, Europa liczyła już pięćset milionów mieszkańców — pięć ziarenek piasku i ten jeden ząb. To wskazuje, jak łatwe było zdobywanie żywności i jak prędko płodziła się ludzkość. W roku 2000 było już w Europie tysiąc pięćset milionów ludzi. W ten sam sposób działo się na całym świecie. Więc osiem miliardów ludzi — powiadam — tak, osiem skorup kraba — żyło na świecie, kiedy wybuchła Szkarłatna Dżuma.

— Byłem wtedy młodym człowiekiem — miałem dwadzieścia siedem lat; mieszkałem po drugiej stronie zatoki San Francisco, w Berkeley. Czy pamiętasz, Edwin, te wielkie domy z kamienia, które ci pokazywałem z pagórków Contro Gosta? Tam właśnie mieszkałem, w tych domach z kamieniami. Byłem profesorem literatury angielskiej.

Niejedno w tych słowach było dla chłopców zupełnie niezrozumiałe, starali się jednak schwytać, ile tylko mogli treści z tej historii przeszłości.

— Po co były te domy z kamienia? — pytał Zajęcza Warga.

— Czy pamiętasz, jak ojciec uczył cię pływać? — Chłopak kiwnął głową. — No więc uważasz, w Uniwersytecie Kalifornijskim (bo tak nazywaliśmy te domy), uczyliśmy młodych mężczyzn i młode kobiety, jak mają myśleć. Podobnie jak ja uczyłem was przed chwilą za pomocą piasku, kamieni, muszel i zębów, ilu ludzi było kiedyś na świecie. Mieliśmy dużo do uczenia! Ci, których uczyliśmy, nazywali się studentami. Sale do nauki były ogromne. Przemawiałem do kilkudziesięciu studentów naraz, tak jak teraz przemawiam tu do was. Opowiadałem im o książkach, która napisali inni ludzie kiedyś i niedawno.

— Tylko tyle robiłeś? Wciąż gadałeś i gadałeś? — zapytał Hoo-Hoo. Któż polował dla ciebie? Kto doił kozy? Łapał ryby?

— Rozumne pytanie, Hoo-Hoo, rozumne pytanie. Jak sam już mówiłem, zdobywanie żywności było w owych czasach bardzo łatwe. Byliśmy ogromnie mądrzy. Niewielu ludzi zdobywało żywność dla wielu. Inni robili co innego. Ja — uczyłem. Mówiłem cały dzień i za to dawano mi pożywienie — dużo pożywienia, smaczne pożywienie, jakiego nie próbowałem już od lat sześćdziesięciu i nie spróbuję więcej nigdy. Myślę czasami, że najbardziej cudowną koroną naszej wspaniałej cywilizacji była właśnie żywność — niezmierna tej żywności obfitość, nieskończona różnorodność, niewiarygodne wyszukanie. Och, moi kochani, życie było życiem w owych czasach, kiedy mieliśmy tak smaczne rzeczy do jedzenia!

Przerastało to możność zrozumienia trzech słuchaczy, toteż puścili to mimo uszu, jako starcze nudzenie niepotrzebnie wplecione w opowiadania.

— Ci, którzy zdobywali dla nas żywność, zwali się „gospodarzami”“. Ale to był żart. Właściwymi bowiem gospodarzami ziemi, maszyn i wszystkiego byliśmy my, klasy posiadające. Ci, którzy zdobywali żywność byli naszymi niewolnikami. Odbieraliśmy im prawie wszystko, co zdobyli, zostawiając im tyle tylko, żeby nie umarli z głodu i mogli nadal pracować dla nas.

— Ja poszedłbym do lasu i polowałbym sam dla siebie — oświadczył Zajęcza Warga. — i gdyby ktokolwiek próbował odebrać mi zwierzynę — zabiłbym.

Staruszek roześmiał się.

— Czy nie mówiłam, te my, klasy posiadające, rozporządzaliśmy ziemią, lasami i wszystkim?

Karaliśmy każdego, kto nie chciał pracować na nas — głodziliśmy go na śmierć. Toteż mało który ryzykował bunt. Woleli zdobywać dla nas żywność, szyć ubranie i dostarczać nam tysiące — jedna muszla, Hoo-Hoo — tysiąca różnych przyjemności i wygod. W owe czasy zwałem się profesor Smith — profesor James Howard Smith. Moje wykłady były bardzo popularne — znaczy to, że wiele mężczyzn i kobiet lubiło słuchać, jak opowiadałem o książkach, które kiedyś napisali inni ludzie.

Byłem bardzo szczęśliwy i miałem doskonałe rzeczy do jedzenia. Ręce moje były delikatne, bo nie pracowałem nimi wcale, całe zaś ciało było czyściutkie i ubrane w cienkie, piękne suknie. Obejrzał ze wstrętem swój łachman z kozłej skóry. — Dawniej nie nosiliśmy takich rzeczy. Nawet niewolnicy mieli lepsze ubrania. I byliśmy czyści. Myliśmy twarz i ręce po kilka razy na dzień. Wy, chłopaki, nie myjcie się nigdy, chyba że chcecie popływać albo niechcący wpadniecie do wody.

— Ty też się nie myjesz, Dziadku — odpalił Hoo-Hoo.

— Wiem, wiem. Jestem stary niechluj. Ale zmieniły się w ogóle czasy. Teraz nikt się nie myje i nikt od innych mycia nie wymaga. Minęło lat sześćdziesiąt od czasu, kiedy ostatni raz widziałem kawałek mydła. Nie wiecie, co znaczy „mydło“, i teraz nie będę wam tłumaczył, bo mam opowiadać historię Szkarłatnej śmierci. Wiecie, co znaczy choroba? Otóż wiele chorób pochodzi od maleńkich żyjątek, które my kiedyś nazywaliśmy bakteriami. Zapamiętajcie to słowo: „bakteria“. Bakteria jest bardzo małym stworzeniem. Jest jak kleszcz, którego znajdziecie na psach, w wiosennej porze, kiedy psy dużo ganiają po lasach. Tylko że bakteria jest tak mała, że nie można jej zobaczyć...

Hoo-Hoo parsknął śmiechem.

— Dobryś, Dziadku! Opowiadasz o rzeczach, których nie można widzieć! Skoro ich nie widzisz, to skąd wiesz, że są? Chciałbym to wiedzieć. Skąd wiesz, jakie jest to, czego nie widzisz?

— Rozumne pytanie, bardzo rozumne pytanie, Hoo-Hoo. Widzieliśmy jednak niektóre bakterie. Posiadaliśmy to, co się nazywało „mikroskopem“ i „ultramikroskopem“. Przykładaliśmy to do oczu i widzieliśmy rzeczy znacznie większymi, niż były w istocie. Niektórych rzeczy nie można było wcale widzieć bez mikroskopu. Nasze najlepsze ultramikroskopy powiększały bakterie czterdzieści tysięcy razy. Jedna muszla oznacza taką liczbą, jak tysiąc palców Edwina, prawda? Weźcie sobie czterdzieści muszel. O tyle razy większa wydawała nam się bakteria pod mikroskopem. Poza tym mieliśmy jeszcze inne sposoby. Używaliśmy to, co nazywało się wówczas „kinematografem“ i co pozwalało nam powiększyć ową powiększoną bakterię jeszcze po wielekroć razy. Za pomocą tych sposobów widzieć mogliśmy dokładnie to, na co nie starczało siły naszych oczu. Weźcie ziarenko piasku. Rozłamcie je na dziesięć części. Każdą z tych części jeszcze na dziesięć części, każdą z nich jeszcze na dziesięć i jeszcze, i jeszcze, i jeszcze, i tak cały dzień, a może ku zachodowi słońca będziecie mieli ziarenko tok drobne jak jedna bakteria.

Chłopcy nie kryli swego niedowierzania. Zajęcza Warga warczał, parskał i burczał, Hoo-Hoo coś pomrukiwał, tylko Edwin szturchał ich, żeby byli cicho.

— Kleszcz wysysa krew psa, lecz bakteria, ponieważ jest mała, dostaje się aż do samej krwi i tam rozmnaża się bardzo licznie. W owych czasach bywało ich we krwi jednego człowieka około miliarda — skorupkę kraba, bardzo proszę — bakterie nazywaliśmy też mikroorganizmami. Kiedy do krwi człowieka dostało się kilka milionów lub miliardów bakterii — człowiek był chory. Chorobę stanowiły właśnie owe bakterie. Gatunków bakterii było bardzo wiele, więcej niż tych ziarn piasku na brzegu. My jednak znaliśmy dobrze tylko kilka gatunków. Świat mikroorganizmów był bowiem światem niewidzialnym, widzieliśmy więc o nim bardzo niewiele. Widzieliśmy jednak coś niecoś. Istniała tak zwana przez nas bakteria: bacillus anthracis; istniała micrococcus, bacterium termo i bacterium lactis — ta ostatnia do dziś dnia zmienia słodkie mleko kóz na kwaśne, Zajęcza Wargo; była też niezliczona ilość odmian tak zwanych schizomycetes. Było też wiele innych...

Tu starowina pograżył się w dysertację na temat bakterii i używać począł tak długich i niedorzecznych zdań, że chłopcy uśmiechał się jeden ku drugiemu i wreszcie zapatrzili się na ocean, zapomniawszy, że Dziadek coś bełkoce.

— No, ale Szkarłatna Śmierć, Dziadku! — przypomniał wreszcie Edwin.

Staruszek opanował się i w jednej chwili wydobył sam siebie z nastroju sali wykładowej, w której przed laty i przed innym audytorium rozwijał był najświeższą teorię zachorzeń.

— Prawda, prawda, Edwin, zapomniałem. Czasem wspomnienia przeszłych czasów stają się tak żywe, że zapominam zupełnie, iż jestem tylko brudnym staruchem okrytym koźlą skórą i wędrującym po świecie z moimi dzikimi wnukami, którzy pasą stada kóz pośród pierwotnej puszczy. „Wszystko jest marność, puch i wiatru gonienie“. Tak też zmarniała nasza olbrzymia cywilizacja. Jestem dziadem, starym, zmęczonym człowiekiem. Należę do plemienia Santa Rosa. Ożeniłem się w tym plemieniu. Moi synowie i córki weszli w związki z plemieniem Szoferów, z plemieniem Sacramento, z plemieniem Palo-Alto. Ty, Zajęcza Wargo, pochodzisz z Szoferów. Ty, Edwin, z plemienia Sacramento. Ty, Hoo-Hoo, z plemienia Palo-Alto. Plemię twoje wzięło swą nazwę od miasta zbudowanego w pobliżu drugiego wielkiego ośrodka nauki — Uniwersytetu Standford. Tak, teraz pamiętam. Doskonale przypominam sobie wszystko. Opowiem wam o Szkarłatnej Śmierci. Na czym stanąłem?

— Opowiadałeś o bakteriach, małych stworzeniach, których nie widać, a które sprowadzają choroby — pośpiesznie odrzekł Edwin.

— Tak, stanąłem na tym. Człowiek nie dostrzegał, kiedy do krwi jego dostała się niewielka ilość bakterii, ale każda bakterio dzieli się na dwie części, każda z tych części dzieli się znowu, i czynią to tak szybko, że w krótkim czasie jest ich już w ciele ludzkim wiele milionów. Wtedy człowiek zachorowuje. Choroby miewają różne nazwy, zależnie od rodzaju bakterii, która je wywołuje. Bywa więc tyfus, influenza, żółta febra i wiele innych.

To jest właśnie najdziwniejsze w owych bakteriach. Coraz to nowe zjawiają się w ciele ludzkim. Dawnymi, bardzo dawnymi laty, kiedy ludzi było niewielu no świecie — bakterie też były nielicznych rodzajów. Im więcej jednak rozmnażali się ludzie, im tłoczniej żyli po wielkich miastach, tym więcej zjawiało się w ich ciele coraz to nowych odmian bakterii. Niezliczone miliony i miliardy zostały przez nie zabite. Im ciasniej tłoczyli się ludzie, tym straszniejsze przychodziły choroby. Za czasów znacznie dawniejszych niż moja młodość — w tak zwanym „średniowieczu“ — poszła przez Europę „Czarna Dżuma“. Grasowała w Europie kilkakrotnie. Potem zjawiała się gruźlica w najbardziej natłoczonych miastach. Sto lat przed moim urodzeniem grasowała „zaraza“ cholery. W Afryce istniała „epidemia“ śpiączki. Uczni „bakteriolodzy“ walczyli z tymi chorobami jak mogli i odpędzali je od ludzi, podobnie jak wy, chłopcy, odpędzacie wilki od waszych stąd albo niszcycie natrętne moskity. Bakteriolog...

— Ależ, Dziadku, co to znów znaczy? — przerwał Edwin,

— Widzisz, Edwin, ty jesteś pastuszkim. Twoim obowiązkiem jest pilnować kóz. Ty wiesz dużo o kozach, o ich zwyczajach i potrzebach. „Bakteriolog“ — pilnuje bakterii. To są jego obowiązki — dużo wiedzieć musi o bakteriach. Więc, jak mówiłem, bakteriolog walczyli z bakteriami i udawało im się — czasem — niszczyć niektóre gatunki. Istniała, na przykład, straszliwa choroba zwana trądem. Sto lat przed moim urodzeniem bakteriolog odkryli bakterię trądu i dowiedzieli się o niej wielu rzeczy. Mieli nawet jej obraz, tak zwaną „fotografię“. Widziałem taki obraz. Ale nigdy nie udało się znaleźć sposobu jej zabicia. Lecz w roku 1984 wybuchła w kraju zwanym Brazylią zaraza ospy, która zabiła mnóstwo ludzi. Ale bakteriolog znaleźli sposób zabicia tych bakterii i wstrzymania zarazy. Zrobili to, co nazwali „surowicą“. Wlewali tę surowicę do ciała ludzkiego i

zabijali bakterie ospy, nie zabijając człowieka. W 1910 roku grasowała pelagra i influenza, lecz obie zabite zostały z łatwością przez bakteriologów. W 1947 pojawiła się nowa straszna choroba, której nigdy przedtem nie widziano. Zapadały na nią jedynie dzieci do wieku dziesięciu miesięcy. Nie mogły wtedy ruszać ani rękami, ani nogami, nie mogły nawet jeść; bakteriologowie potrzebowali jedenastu lat, żeby odkryć bakterie tej choroby i nauczyć się je zabijać i tym samym ratować dzieci.

Pomimo wszystkich dawnych i coraz to innych nowych chorób ludzie mnożyli się coraz liczniej po całym świecie. Dlatego że coraz łatwiejsze stało się zdobywanie żywności. Im dostępniejsza była żywność, tym bardziej rosła ilość ludzi i tym ciasniej im było na ziemi. Im zaś ciasniej mieszkali, tym więcej pojawiała się bakterii, niosących choroby. Ostrzegano. W roku 1929 Soldewetzsky przepowiedział bakteriologom, że nie znajdą obrony przeciwko nowej zarazie, tysiącrotnie groźniejszej niż wszystkie poprzednie, zarazie, która zjawi się niewątpliwie i zabijać będzie ludzi całymi milionami, a nawet miliardami. Świat mikroorganizmów pozostał do końca tajemnicą. Wiedzano, że świat taki istnieje i że od czasu do czasu wynurza się zeń olbrzymia armia zabójców ludzi. Oto wszystko, co wiedzano. Wiedzano też, że w tym olbrzymim niewidzialnym świecie może istnieć tyle gatunków bakterii, ile ziarn piasku na morskim brzegu. Mogło się zdarzyć, że wytworzy się gatunek zupełnie nowy. Może z tego właśnie źródła pochodzi życie w ogóle — owa „piekielna płodność“, jak nazwał je Soldewetzsky, używając zresztą określenia jednego z dawnych pisarzy...

W tym miejscu Zajęcza Warga nie wytrzymał. Skoczył na równe nogi i krzyknął zgorszony, wściekły i pełen pogardy:

— Dziadku! Chory już jestem od tego gadania. Będziesz opowiadał o Czerwonej Śmierci czy nie? Jeśli nie, powiedz od razu, to zabieramy się i walimy do obozu!

Staruszek spojrzał ku wnukowi i począł płakać cichutko. Słabe łyzy starości staczały się po policzkach i całe niedołęstwo osiemdziesięciu siedmiu lat wyraziło się nagle w tej jego żałośliwej postawie.

— Siadaj, siadaj! — uspokajał brata Edwin. — Dziadek właśnie miał zamiar mówić o Szkarłatnej Śmierci. Zaraz, zaraz zacznij opowiadać. No, siadaj, Zajęcza Wargo. Zaczynaj, Dziadku!

Starowina otarł łzy kościstymi pięściami i rozpoczął swoją historię drżącym falsetem, który wzmacniał się i wyrównywał w miarę opowiadania.

— Zaraza rozpoczęła się w lecie, w roku 2013. Miałem wtedy lat dwadzieścia siedem, więc wszystko pamiętam dobrze. Radiodepesze...

Zajęcza Warga splunął głośno z obrzydzenia, Dziadek więc poprawił się skwapliwie.

— Umieliśmy w owych czasach rozmawiać przez powietrze z odległości tysięcy mil. Nadeszła więc przez powietrze wieść o nieznannej chorobie, która wybuchła nagle w Nowym Jorku. W tym najwspanialszym mieście Ameryki mieszkało wówczas siedemnaście milionów ludzi. Nikt nie przejął się zbyt owo wiadomością. Wydawało się to drobnostką. Zdarzyło się zaledwie kilka wypadków śmierci. Niemniej śmierci te były bardzo gwałtowne i poprzedzone nagłym mocnym zaczerwienieniem całego ciała i twarzy. W dwadzieścia godzin później taka sama wiadomość nadeszła z Chicago. Tego samego dnia dowiedziano się, iż Londyn, największe po Chicago miasto na świecie, od dwóch tygodni potajemnie walczy z zarazą, lecz cenzuruje depesze, żeby ukryć przed światem fakt, że dotknięte jest epidemią. Wyglądać to zaczęło dość poważnie, ale my, mieszkańcy odległej Kalifornii, czuliśmy się spokojni. Nikt nie wątpił, że bakteriologowie znajdą sposób opanowania tej nowej choroby, jak opanowali już tyle innych. Niepokojąco wyglądała tylko owa niezmierna szybkość, z jaką nowe bakterie niszczyły organizm ludzki, i fakt, że każdy wypadek zachorowania bywał śmiertelny. Nikt nie powracał do zdrowia. Zналиśmy już co prawda cholere azjatycką: mogłeś jeść obiad wieczorem z kimś zupełnie zdrowym, a nazajutrz rano widzieć, jak go wiozą na śmiertelnym wozie. Ale ta nowa plaga była jeszcze znacznie gwałtowniejsza. Od chwili pojawienia się pierwszych oznak choroby aż do chwili śmierci upływała przeważnie godzina. Niektórzy męczyli się po kilka godzin. Inni znów umierali po upływie dziesięciu, piętnastu minut.

Serce biło coraz śpieszniej, gorączka rosła. Potem szkarłatna barwa rzucała się jak ogień na całe ciało i twarz. Niektórzy nie odczuwali wzrostu gorączki i bicia serca, toteż dopiero ujrzawszy ów szkarłat skóry, pojmowali, że są chorzy. Razem z ową czerwonością przeważnie rozpoczynały się konwulsje. Nie trwały jednak długo i nie były bardzo ciężkie. Jeśli ktoś je przeżył — leżał potem zupełnie nieruchomo i spokojnie, czując tylko, jak z wolna bezwład ogarnia ciało od nóg ku górze. Najpierw kostniały stopy, potem łydki, dalej uda, kiedy zaś martwota docierała do serca — człowiek umierał. Podczas choroby ludzie nie spali i nie bredzili — zachowywali przez cały czas zupełną przytomność umysłu, aż do chwili, w której nagle zatrzymywało się serce. Następnym dziwem tej choroby była szybkość pośmiertnego rozkładu ciała. Ledwie człowiek umarł — zwłoki wprost rozkładały się, rozsypywały, nikły w oczach. Była to jedna z przyczyn tak gwałtownego szerzenia się zarazy. Biliony bakterii znajdujące się w każdym zwłokach uwalniane były błyskawicznie szybko. Z powodu tego wszystkiego bakteriologowie mieli bardzo małą możliwość walki z nową zarazą. Rozpocząwszy badania, umierali w swoich pracowniach. Zachowywali się jednak po bohatersku. Ledwie padli jedni, drudzy zjawiali się na ich miejsca, by dalej prowadzić pracę. Straszliwą bakterię po raz pierwszy wyodrębniono w Londynie. Natychmiast dano znać o tym całemu światu. Nazwisko tego bakteriologa brzmiało: Trask. Umarł w trzynaście godzin po dokonaniu odkrycia. Natychmiast we wszystkich pracowniach rozpoczęły się prace nad znalezieniem środka zniszczenia owych bakterii. Lecz wszystkie lekarstwa zawiodły. Uważacie, chodziło o znalezienie takiego środka, który zabiłby bakterie w ciele ludzkim, nie zabijając samego człowieka. Próbowano więc

znaleźć bakterie wrogie bakteriom Szkarłatnej Plagi, które by zwalczyły tamte w ciele żywego człowieka...

— Wcale nie można zobaczyć tych bakterii, Dziadku — zbuntował się Zajęcza Warga — a gędzisz coś o nich i gędzisz, jakby one były najważniejsze, a tymczasem one są właściwie niczym! To, czego nie widzimy — nie jest i już. Zwalczać coś, czego nie ma, przez drugie coś, czego nie ma! Same wariaty żyły wtedy na świecie. Dlatego wyzdychały. Nie mam zamiaru wierzyć w te wszystkie bzdury — i już.

Dziadek natychmiast ocierać począł łzy, Edwin *zaś* ujął się za nim gorąco.

— Posłuchaj, ty Zajęcza Wargo, wierzysz przecież w wiele rzeczy, których nie widzisz.

Zajęcza Warga potrząsnął głową.

— Wierzysz, że umarli chodzą po świecie, a przecież nigdy nie widziałeś, żeby umarli chodził.

— Widziałem, kiedy zeszej zimy polowałem na wilki z ojcem.

— A czemu spluwasz zawsze, kiedy przechodzisz przez bieżącą wodę? — wyzywał dalej Edwin.

— Żeby się licho nie przyczepiło — bronił się Zajęcza Warga.

— Wierzysz w licho?

— Naturalnie.

— A przecież nigdy nie widziałeś licha — zakończył triumfalnie Edwin. — Jesteś więc wart Dziadka i jego bakterii. Wierzysz w to, czego nie widzisz. Wal dalej, Dziadku!

Zajęcza Warga, zgnębiony swą metafizyczną przegraną — zamilkł, starowina *zaś* opowiadał dalej. Nieraz słowa jego przerywał zgiełk kłótni chłopaków. Nieustannie też trwało między malcami ciche porozumiewanie się, wzajemne tłumaczenia i wszelkie wykrzykniki, które pomoc miały do rozumienia owego nie istniejącego już, dziwnego świata.

— Szkarłatna Dżuma wybuchła w San Francisco. Pierwszy wypadek śmierci zdarzył się *pewnego* poniedziałku z rana. Już we wtorek ludzie w Oakland i w San Francisco marli niczym muchy. Umierali wszędzie — w łóżkach, przy pracy, na ulicach. Ja *po* raz pierwszy zobaczyłem taką śmierć we czwartek. Zachorowała panna Collbran, jedna z moich studentek, siedząc na wykładzie tuż przed moimi oczyma. Mówiąc zauważyłem, że twarz jej poczerwieniała nagle. Przestałem mówić i wpatrywałem się przerażony. Wszyscy zrozumieli, że oto nadeszła Szkarłatna Śmierć. Kobiety poczęły piszczeć i rzuciły się precz z sali. Mężczyźni wybiegli również, z wyjątkiem dwóch. Konwulsje panny Collbran były dość lekkie i trwały mniej niż minutę. Jeden z młodych ludzi podał jej szklanekę wody. Wypiła parę łyków i nagle krzyknęła:

— Moje nogi! — Zupełnie nie czuję nóg. — Po upływie minuty wyrzekła: — Nie mam nóg. Kolana mam zimne. Ledwie, ledwie czuję, że mam kolana.

Leżała na podłodze, mając pod głową kilka książek. Nie mogliśmy nic poradzić. Zimno i martwota posunęła się od nóg poprzez całe ciało, kiedy *zaś* dotknąłem serca, kobieta już nie żyła. Wszystko razem trwało piętnaście minut — spojrziałem na zegarek. Oto leży trup w mojej własnej sali wykładowej. Trup, który był przed chwilą młodą, silną, zdrową i bardzo piękną kobietą. Piętnaście minut. Rozumiecie teraz, jak straszna była Szkarłatna Śmierć.

Jednakże te piętnaście minut, które spędziłem przy chorej, wystarczyły, żeby zaalarmować cały uniwersytet; studenci całymi tysiącami uciekali z sal i laboratoriów. Kiedy wyszedłem ze swego gmachu, żeby zdać raport dziekanowi fakultetu — dostrzegłem, że uniwersytet jest pusty. Przez podwórza pędził ktoś tu i ówdzie.

Dziekana Hoaga zastałem *samego* w jego kancelarii. Wyglądał staro i jakby siwiej niż zwykle. Na twarzy miał mnóstwo małych zmarszczek, których nie widziałem dawniej. Na mój widok zerwał się i cofać począł do sąsiedniego pokoju, zatrzasnąwszy drzwi i zamknąwszy je na klucz. Wiedział

już, że miałem do czynienia z chorą i bał się zarazy. Huknął mi przez drzwi, żebym sobie poszedł. Nie zapomnę nigdy uczucia, z jakim wracałem przez puste korytarze i bezлюдne podwórza. Nie bałem się, nie. Uważałem siebie już za umarłego. Tylko uczucie nieznośnego przygnębienia tłoczyło mnie i gniołło. Wszystko wokoło mnie zamarło. Nadszedł jak gdyby koniec świata, mego świata.

Urodziłem się tutaj, w tych uniwersyteckich murach. Nauczycielstwo było jak gdyby moim przeznaczeniem, nie tylko zawodem. Ojciec mój był tu profesorem przede mną, *zaś* przed ojcem — dziad. Przez sto pięćdziesiąt lat trwał ten uniwersytet, pracując niczym doskonale zmontowana maszyna. I oto nagle zatrzymał się w przeciagu piętnastu minut. Jakby nagle wygasł płomień na ołtarzu po trzykroć świętym. Oszołomiony byłem, ogłuszony, oniemiały.

Kiedy wszedłem do domu, moja gospodyni wrzasnęła i uciekła. Zadzwoiłem. Okazało się, że pokojówka uciekła również. Poszedłem do kuchni. Kucharka właśnie kończyła pakowanie swoich rzeczy. Ujrawszy mnie, wrzasnęła również i cisnąwszy na ziemię własną walizkę z ubraniami, pomknęła precz, co sił w nogach. Dotychczas słyszę ten jej wrzask. Widzicie, nie postępowaliśmy w ten sposób, jeśli dosięgały nas zwykłe choroby. Byliśmy spokojni i tylko posyłaliśmy po lekarza i pielęgniarkę, którzy już wiedzieli, co czynić należy. Ale tym razem była inna sprawa. Szkarłatna Śmierć zabijała pewnie, szybko i niechybnie. Zaczerwienienie twarzy stawało się już piętnem śmierci. Nie było wypadku wyzdrowienia.

Zostałem sam w moim dużym domu. Jak wam już wspomniałem, w owych czasach umieliśmy rozmawiać zarówno przez powietrze, jak przez druty. Telefon zadzwonił. To mój brat oświadczał mi, że nie wraca do domu, gdyż boi się zarazy, i że zabrał obie nasze siostry do mieszkania profesora Bacona.

Radził mi, żebym został tam, gdzie jestem, i czekał, czy nie wystąpią objawy zarażenia.

Zgodziłem się na to wszystko, zostałem w moim domu i po raz pierwszy w życiu spróbowałem gotować. Choroba nie wystąpiła. Przez telefon mogłem rozmawiać ze wszystkimi i otrzymywać wszelkie wiadomości. Istniały też gazety. Kazałem rzucać je sobie pod próg i czytałem o wszystkim, co działo się na świecie.

Nowy Jork i Chicago żyły w straszliwym zamęciu. To, co działo się w tych dwóch olbrzymich miastach, dziać się też poczynało w innych, mniejszych. Trzecia część policji w Nowym Jorku wymarła. Komendant policji i burmistrz umarli również. Prawo i porządek przestały istnieć. Trupy leżały na ulicach nie pogrzebane. Pociągi i okręty, dowożące żywność do miast, przestały kursować. Tłumy głodnych nędzarzy rabowały sklepy i składy. Wszędzie rozpoczęły się rzezie, napady i pijaństwa. Równocześnie ludność pierzchała z miast całymi milionami — najpierw bogaci w prywatnych samochodach, potem zaś całe tłumy ludności biednej, na piechotę. Nieśli już w sobie zarazę i marli po drodze, zarażając wieśniaków i małe miasteczka.

Człowiek, który przesyłał światu te wiadomości — radiooperator — znajdował się sam jeden ze swym instrumentem na wierzchołku bardzo wysokiego budynku. Ludność pozostała w mieście — oceniał jej liczbę na kilkaset tysięcy ludzi — oszalała z pijaństwa i przerażenia. Wokoło płonęły ogromne pożary. Ów radiooperator, który do końca pozostał na swoim stanowisku, był prawdziwym bohaterem, chociaż prawdopodobnie był tylko podrzędnym dziennikarzem.

Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny — mówił nam przez radio — nie nadeszły żadne transatlantyckie samoloty i żadne wieści z Anglii. Za to otrzymał podobno wiadomość z Berlina (w Niemczech), że Hoffmeyer, bakteriolog ze szkoły Miecznikowa, wynalazł surowicę przeciwko zarazie. Było to ostatnie słowo, jakie my, Amerykanie, otrzymaliśmy od Europy. Widocznie Hoffmeyer zbyt późno wytworzył swoją surowicę — w przeciwnym razie Europejczycy byłiby już tu przybyli, żeby nas odszukać. Mogliśmy więc tylko wnioskować, iż w Europie zdarzyło się to samo,

co w Ameryce, czyli że w najlepszym razie kilkudziesięciu ludzi zostało przy życiu na całym kontynencie.

Jeszcze przez dzień jeden nadchodziły depesze z Nowego Jorku. Potem ustały. Radiooperator, zamknięty w swym napowietrznym gnieździe, musiał zapewne umrzeć od zarazy, albo też zginąć w płomieniach pożarów, o których opowiadał nam dnia poprzedniego. Wszystko, co zaszło w Nowym Jorku, powtórzyło się w innych miastach: w San Francisco, w Oakland, w Berkeley. W czwartek ludzie mrzeć poczęli tak gwałtownie, że nie nadążono z grzebaniem ciał i trupy leżały na ulicach. W nocy z czwartku na piątek rozpoczęła się paniczna ucieczka z miasta. Wyobraźcie sobie, chłopcy, tłum ludzi, gęstszy niż ławica łososi, którą widzieliście na rzece Sacramento, walący precz z miast, oszalały z przerażenia, szukający daremnie ratunku przed wszędzie obecną śmiercią. Ludzie — uważacie — nieśli przecież bakterie w samych sobie. Nawet aeroplany, które unosiły bogaczy w góry i na pustynie, niosły ze sobą zarazę.

Setki samolotów uciekły na Hawaje, lecz nie tylko przyniosły epidemię ze sobą — zastały ją już na miejscu. Dowiedzieliśmy się o tym z depesz — zanim nie zniknęły w San Francisco resztki porządku. Później nie było już telegrafistów ani do wysłania, ani do odbierania wiadomości. Brak połączenia ze światem dawał wrażenie dziwaczne, niezwykle, niewiarygodne. Jakby cały świat nagle przestał istnieć. Od lat sześćdziesięciu świata nie ma dla mnie. Wiem, że istnieje Nowy Jork, że gdzieś daleko leży Europa, Afryka, Azja; ale nie ma od nich ani słowa od lat sześćdziesięciu. Wraz z wybuchem epidemii świat rozpadł się doszczętnie i niepowrotnie. Dziesięć tysięcy lat cywilizacji i kultury zniknęło w mgnieniu oka, „marność, puch i wiatru gonienie“.

Wspominałem o samolotach, należących do bogaczy. Uniosły ze sobą chorobę i ludzie umierali w nich, dokądkolwiek polecieli. Spotkałem jednego tylko ocalonego — Mungersona. Przystał potem do plemienia Santa Rosa i ożenił się z moją najstarszą córką. Przyszedł do naszego plemienia w osiem lat po dżumie. Miał wtedy lat dziewiętnaście i zmuszony był czekać jeszcze lat dwanaście, zanim się mógł ożenić. Nie było bowiem niezamężnych kobiet w naszym plemienu, zaś wszystkie dorastające córki były już dawno obiecane mężczyznom. Musiał więc czekać, aż moja Mary skończy lat szesnaście. Jego to syn, Krzywonogi, został zabity zeszłego lata przez lwa górskiego.

Mungerson miał lat jedenaście, kiedy wybuchła zaraza.

Ojciec jego był jednym z Magnatów Przemysłu, bardzo bogatych i wpływowych ludzi. Własnym samolotem, zwanym Kondor, uciekł wraz z całą rodziną w dzikie stepy Kolumbii Brytyjskiej, która leży daleko ku północy. Ale zdarzyła się jakaś awaria mechanizmu i samolot rozbił się niedaleko Mount Shasta. Słyszeliście o tej górze. Leży również daleko ku północy. Zaraza wybuchła pośród rodziny Mungersona i ów jedenastoletni chłopczyk był jedynym ocalonym. Przez osiem lat wędrował samotnie po pustyni, szukając na próżno ludzkiej stopy. Wreszcie, ruszywszy ku południowi, natrafił na nas, plemię Santa Rosa.

Ale odbiegłem od mego opowiadania. Kiedy wokoło zatoki San Francisco rozpoczęła się masowa ucieczka z miast, lecz telefony działały jeszcze — rozmówiłem się z moim bratem. Powiedziałem mu, że ów bieg na oślep, gdzie oczy poniosą, jest szaleństwem, że nie widzę w sobie żadnych oznak choroby i że jedyna rzecz, którą powinniśmy zrobić — to oddzielenie siebie i naszej rodziny w jakimś bezpiecznym a ustronnym miejscu. Zdecydowaliśmy się na uniwersytecki Pawilon Chemii. Mieliśmy zwieźć tam zapas żywności i z bronią w ręku nie dopuścić do naszego schronienia nikogo obcego.

Umówiwszy się ze mną w ten sposób, brat poprosił mnie znowu, żebym jeszcze przynajmniej przez dwadzieścia cztery godziny pozostał w domu, bał się bowiem, że choroba może się we mnie rozwinąć.

Zgodziłem się, on zaś obiecał przyjść po mnie nazajutrz. Rozmawialiśmy właśnie o szczegółach zamieszkania w Pawilonie Chemii, kiedy nagle — telefon został przerwany. Przerwany został w środku naszej rozmowy. Tegoż wieczoru zabrakło światła elektrycznego. Zostałem sam jeden w ciemnym, pustym domu. Nie drukowano już gazet, nie wiedziałem więc, co się dzieje za moimi drzwiami. Słyszałem odgłosy wybuchów i strzałów rewolwerowych, widziałem z okien łuny nad miastem Oakland. Była to noc grozy. Nie spałem ani chwili. Jakiś człowiek — nie wiem czemu i przez kogo — zraniony został przed moim oknem i leżał na chodniku. Słyszałem tylko szybkie strzały automatycznego rewolweru, po czym poranione i półżywe ciało wlec się poczęło ku memu oknu, jęcząc o pomoc. Uzbroiwszy się w dwa rewolwery, wyszedłem ku niemu. Zapaliłem zapałkę i ujrzałem ze zgrozą, że w chwili gdy ranny umierał od postrzału, na twarzy jego pojawiły się oznaki epidemii. Uciekłem do domu, chociaż nie przestawał jęczeć i błagać przez długie pół godziny.

Rano przyszedł mój brat. Zabrałem do ręcznej walizki trochę cennych rzeczy, lecz kiedy spojrzałem na twarz mego brata, pojąłem, że nie będzie mi już towarzyszył do Pawilonu Chemii. Był zarazony. Wyciągnął do mnie rękę, ale cofnąłem się pośpiesznie.

— Spójrz w lustro! — zawołałem.

Spojrzał i — na widok szkarłatu powlekającego twarz i ciemniejącego w miarę jak patrzył — opadł drżący na krzesło.

— Boże! — zawołał — złapało mnie! Nie podchodź. Jestem już trupem.

Potem chwyciły go konwulsje. Umierał dwie godziny i nie stracił przytomności aż do końca, skarżąc się na chłód i kostnienie nóg, kolan, ud, całego ciała. Wreszcie chłód dotknął serca — nadeszła śmierć.

W taki to sposób zabijała Szkarłatna Dżuma, Chwy cięciem swoją walizeczkę i uciekłem. Widok ulicy był przeraźliwy. Na każdym kroku potykałem się o ciała. Niektóre jeszcze na wpół żywe. Liczne pożary ogarniały Berkeley, zaś Oakland i San Francisco były jednym morzem ognia. Dym zasnuwał niebo tak, że jasny dzień wyglądał jak głęboki zmierzch. Od czasu do czasu wiatr odgarniał chmury dymu i wtedy błyskało słońce: czerwony, mgławki krąg. Tak, moi chłopcy, było to niby w ostatni dzień świata.

Liczne samochody stały nieruchomo na jezdni. Widocznie w składach zabrakło benzyny i gazołiny. Pamiętam jeden taki samochód. Na siedzeniu pólleżały dwa trupy, mężczyzny i kobiety. Tuż obok, na jezdni, leżały jeszcze dwie martwe kobiety i dziecko. Straszne, potworne widoki na każdym kroku! Ludzie przemykali się pośród nich trwożnie, po cichu — blade kobiety niosły maleńkie dzieci. Pojedynczo i całymi rodzinami uciekali ludzie precz z miasta. Niektórzy nieśli zapasy żywności, inni pościel lub klejnoty — było też wielu, którzy nie nieśli nic.

Pamiętam pewien sklep kolonialny — sklep, gdzie sprzedawano żywność. Kupiec, do którego należał ten sklep — cichy, spokojny, ale tępy człowieczyna — bronił uparcie swego dobra. Okna i drzwi zostały już wywalone, ale kupiec, schroniwszy się za kontuar, walił z rewolweru do kilku mężczyzn napadających z chodnika. U wejścia leżało kilka ciał, prawdopodobnie od rana kupiec zabił już niejednego rabusia. W moich oczach jeden z napastników włamał się do sąsiedniego sklepu — z obuwiem, pamiętam jak dziś — i umyślnie sklep ten podpalił. Nie poszedłem jednak pomagać kupcowi. Minał czas poświęcania się dla bliźnich. Cywilizacja runęła — i każdy pozostał sam.

IV

Ruszyłem śpiesznie pierwszą bocznicą i zaraz na rogu natknąłem się na nową tragedię. Dwóch robotników zatrzymało jakichś dwoje bogato ubranych ludzi, mężczyznę i kobietę, idących z dwojgiem dzieci i obdzierało ich z ubrania. Znałem tego pana z widzenia, choć nie byłem mu nigdy przedstawiony. Poeta, którego wierszami zachwyciałem się od dawna. A jednak nie zdążyłem mu już pomóc, bo w chwili gdy podchodziłem, buchnął strzał rewolwerowy i poeta runął na chodnik. Kobieta wrzasnęła, ale ogłuszono ją potężnym ciosem w głowę. Wykrzyknąłem ku bandytom jakąś pogróżkę, wobec czego dali do mnie dwa strzały. Chybili — w sekundę później umknąłem za róg ulicy. Lecz po chwili zagroził mi drogę wzbierający pożar.

Po obu stronach płonęły budynki, ulica pełna była dymu i ognia. Skądś, z głębi płomieni, dochodził krzyk kobiecy, wołający rozpaczliwie o pomoc. Ale nie poszedłem na ratunek. Serca ludzkie przemieniły się w owych dniach w żelazo. Zresztą, błagań o pomoc słyszało się ze wszystkich stron zbyt wiele.

Wróciwszy na pamiętny róg ulicy, gdzie zastrzelono poetę, nie zastałem tam już bandytów. Tamci dwoje leżeli martwi na chodniku. Potworny to był widok. Dzieci zniknęły — nie wiem gdzie. Zrozumiałem teraz, czemu wszyscy uciekający z miasta mieli tak blade z przerażenia twarze i przemykali się ulicami chyłkiem i pośpiesznie. W samym łonie naszej cywilizacji, pośród dzielnic robotniczych, w licznych gettach pracy i nędzy wyhodowaliśmy rasę dzikich, plemię barbarzyńców i oto teraz, w godzinę naszej klęski tamci zwrócili się przeciwko nam i niszczyli nas, ile im sił starczyło. Co prawda, niszczyli też przy tym samych siebie. Podniecali się trunkami i popełniali tysiące okrucieństw, bijąc się między sobą i mordując w ogólnym szaleństwie. Spotkałem też jedną grupę robotników kulturalniejszych i mądrzejszych, którzy gromadzili się razem, wzięli do środka swoje żony i dzieci, starców zaś i chorych umieścili na noszach i zaprzęgnięszy kilka tęgich koni do ogromnej platformy z żywnością — przebojem wywalczyli sobie wyjście z miasta. Cieszyli oczy swoją sprawnością i ładem, kiedy tak szli środkiem ulicy poprzez kłęby dymu. Co prawda, o mało mnie nie zastrzelili, kiedy im stanąłem na drodze. Potem jeden z przywódców krzyknął mi kilka słów na usprawiedliwienie i przeproszenie. Dodał też, że strzelają do wszystkich spotkanych rabusiów i dlatego właśnie idą gromadą, żeby się móc bronić i przedrzeć.

Wtedy właśnie po raz pierwszy zobaczyłem to, co później widzieć miałem ciągle. Na twarzy jednego z idących ludzi ukazywać się zaczęły niewątpliwie objawy zarazy. Natychmiast odsunęli się od niego wszyscy idący w pobliżu, on zaś wyszedł z szeregu i pozwolił innym przejść spokojnie. Jakaś kobieta, zapewne jego żona, chciała z nim zostać. Prowadziła za rękę małego chłopca. Ale mąż rozkazał jej surowo, żeby szła dalej, zaś towarzysze wzięli ją pod rękę i nie pozwolili zostać. Widziałem to, widziałem też, jak zarażony mężczyzna wszedł do pobliskiej bramy, słyszałem huk jego broni i widziałem, jak padł martwy.

Dwa razy zawracały mnie z drogi szalejące pożary, wreszcie jednak przedostałem się do uniwersytetu. Na podwórzu spotkałem grupę ludzi, zdążającą tak jak ja w kierunku Pawilonu Chemii. Byli to profesorowie z całymi rodzinami i ze służbą. Profesor Badminton pozdrowił mnie, ale poznałem go z trudnością. Przechodził widocznie przez ogień i opalił sobie brodę aż do skóry. Na głowie miał krwawy bandaż, ubranie w strzępach. Mówił mi, że bandyci zbili go okrutnie, brata zaś zabili mu zeszłej nocy, kiedy bronił domu.

Kiedyśmy doszli już do środka podwórza, wskazał mi nagle z daleka twarz pani Swinton. Zaraza!

Nie było wątpliwości. Natychmiast pozostałe kobiety podniosły wrzask nie ludzki i poczęły uciekać. Dwoje jej dzieci szło z nianką i także rzuciło się do ucieczki. Lecz mąż jej, doktor Swinton — pozostał.

— Idź dalej, Smith — powiedział do mnie. — Uważaj na dzieci. Ja zostanę z żoną. Wiem, że ona już właściwie umarła, ale nie mogę jej opuścić. Potem, rozumiesz, potem, jeśli się nie zarazę, przyjdę do Pawilonu Chemii. Uważaj i wpuść mnie.

Zostawiłem go schyłego nad żoną i osładzającego jej ostatnie chwile i sam pobiegłem w ślad za naszą gromadką. Przyjęto mnie jednego z ostatnich do Pawilonu. Potem już z automatycznymi strzelbami w rękach bronić mieliśmy wejścia obcym. Mieliśmy zamiar zamknąć się tutaj w sześćdziesiąt osób, tymczasem każdy przyprowadził jeszcze swoich krewnych i przyjaciół, wobec czego liczba nasza wzrosła do czterystu. Pawilon Chemii był ogromny i odosobniony, toteż nie groziło mu niebezpieczeństwo przerzucenia się ognia z pożarów szalejących w mieście.

Zwieźliśmy wielką ilość żywności i wybraliśmy komitet żywnościowy, który wydzielać miał codzienne porcje rodzinom i poszczególnym gromadkom ludzi, porozmieszczanym po salach wykładowych. Obmyśliliśmy bardzo szczegółową organizację i wybraliśmy kilka komitetów. Ja byłem w komitecie obrony. Przez pierwszy dzień nikt nie napadał na nasz pawilon. Z okien jednak widzieliśmy dymy ognisk bandyckich, rozłożonych już na podwórku uniwersyteckim. Cała zgraja była nieprzytomnie pijana, słyszeliśmy jej dzikie wrzaski i ohydne przyśpiewki. Kiedy cały świat walił się w gruzy i wokoło dymiły jego zgliszcza — te nie ludzkie stworzenia puściły wodze swoim namiętnościom — piły, hulały, biły się — i ginęły. Zresztą, czy nie było już wszystko jedno? Ludzie umierali wszędzie i co chwila, dobry obok złego, silny obok słabego, ten, który kochał życie, przy tym, który życiem gardził. Mijał każdy. Mijali wszyscy.

Kiedy po upływie doby zaraza nie ujawniła się pośród nas, złożyliśmy sobie powinszowania i wzięliśmy się do kopania studni. Widzieliście te wielkie rury żelazne, które dawniej dostarczały wodę do miasta. Baliśmy się, że rury pękną od pożarów i zbiorniki zostaną opróżnione. Wobec tego zdjeliśmy betonową płytę na środku podwórka Pawilonu Chemii i wykopaliśmy własną studnię. Było pośród nas wielu młodych mężczyzn, studentów i profesorów — pracowaliśmy dzień i noc. Obawy nasze sprawdziły się. O trzy godziny wcześniej, niż dokopaliśmy się do wody, rury wodociągów miejskich pękły i wyschły.

Minęła jeszcze jedna doba i znów nie wybuchła pośród nas zaraza. Uważaliśmy się za uratowanych. Nie wiedzieliśmy jednak tego, co z czasem wydało mi się niewątpliwe. mianowicie, że bakteria dojrzewać musiała i rozwijać się w ciele ludzkim przez kilka dni. Bakterie zabijały z tak błyskawiczną szybkością, iż skłonni byliśmy przypuszczać, że dojrzewają równie prędko. Skoro więc dwa dni i dwie noce nie dosięgła nas zaraza, unosiliśmy się radością, że już nas nie dosięgnie.

Lecz trzeci dzień rozproszył złudzenia. Nie zapomnę ni gdy nocy, która dzień ten poprzedziła. Byłem naczelnikiem nocnej warty — od ósmej do dwunastej. Z dachu naszego pawilonu przyglądałem się w milczeniu, jak sypią się w gruzy wspaniałe dzieła rąk człowieczych. Pożary były tak olbrzymie, że całe niebo stało w ogniu łun. Przy tym blasku czerwonym można było czytać najdrobniejszy druk. Cały świat zdawał się tonąć w płomieniach. San Francisco pluło ku nam dymem, buchającym z kilkunastu pożarów, które wyglądały stąd zupełnie jak wulkany. Oakland, San Leandro, Haywards, Point Richmond — wszystko płonęło. Pełen zgrozy to był widok. Cywilizacja, moi kochani, cywilizacja ginęła w chmurze dymu, w wyziewach śmierci. Tej nocy, o godzinie dziesiątej, wielkie składy prochu w Point Pinole wybuchły jeden po drugim. Huk był tak straszny, że nasz mocny budynek zachwiał się jak podczas trzęsienia ziemi. Nie ocalała ani jedna szyba. Wtedy zszedłem wreszcie z dachu i iść począłem długimi korytarzami od sali do sali, uspokajając

przerażone kobiety i opowiadając im, co się stało.

W godzinę później, stojąc przy jednym z parterowych okien, usłyszałem dziki wrzask w obozie rabusiów rozlokowanych na podwórzu. Buchnęło tam kilkanaście wystrzałów. Jak stwierdziliśmy później, walka wynikała stąd, że zdrowi chcieli pozbyć się zarażonych i zaczęli wyganiać ich z obozu. W każdym razie gromada rabusiów o szkarłatnych twarzach umknęła z obozu i dotarła pod nasze drzwi. Huknęliśmy groźnie, żeby szli precz, ale odpowiedziano nam gradem przekleństw i kul rewolwerowych. Profesor Merryweather, stojący przy jednym z okien, dostał kulą między oczy i padł trupem na miejscu. Odpowiedzieliśmy ogniem i wszyscy bandyci pierzchnęli, prócz trojga: dwóch mężczyzn i jednej kobiety. Wszyscy troje byli zarażeni i wobec tego zdecydowani na wszystko. Jak szaleńcy miotali się pod naszymi oknami, szkarłatni w czerwonym ogniu łun, obrzucali nas przekleństwami i strzelali do ostatniego naboju. Jednego z napastników zastrzeliłem własnoręcznie. Widząc to, tamci dwoje, nie przestając klnać, położyli się pod samymi naszymi oknami, żebyśmy nie stracili potwornego widoku ich śmierci.

Położenie stało się krytyczne. Wybuch prochu wybił wszystkie szyby w naszym pawilonie tak, że teraz byliśmy wystawieni na działanie bakterii z rozkładających się trupów. Komitet sanitarny, wybrany spośród nas, powołany został teraz do pracy i dzielnie spełnił swój obowiązek. Zażądaliśmy, aby dwóch mężczyzn wyszło z pawilonu i odrzuciło trupy precz. Dla owych mężczyzn oznaczało to prawdopodobną utratę życia, gdyż potem nie wolno im już było powrócić do pawilonu. Jeden profesor i jeden docent zgłosili się na ochotnika. Pożegnali nas i wyszli, Byli bohaterami. Dać mieli swoje życie, żeby ocalić czterysta innych istnień. Po spełnieniu swego zadania zatrzymali się jeszcze chwilę i smutnie popatrzyli ku nam. Potem ręką przesłali nam pozdrowienie i z wolna poszli przez podwórze ku płonącej miastu.

A przecież całe to poświęcenie było daremne. Następnego ranka zdarzył się wpośród nas pierwszy wypadek dżumy. Zachorowała młoda niańka dzieci profesora Stonta.

Nie było czasu na sentymentalizm, a nawet dobroć. Przypuszczając, że może zaraza dosięgła tyłką ją jedną, kazaliśmy jej po prostu iść precz z pawilonu. Odeszła. Idąc powoli przez podwórko, załamywała ręce i żałośnie płakała. Postępowaliśmy jak zwierzęta — ale cóż mieliśmy począć? Było nas cztery setki, więc trzeba było poświęcać jednostki.

W jednej z pracowni rozlokowały się trzy rodziny. Po południu znaleźliśmy pośród nich ni mniej, ni więcej tylko cztery trupy i siedem osób zarażonych w najrozmaitszych okresach choroby.

Wtedy rozpoczęła się panika. Trupy kazaliśmy porzucać tam, gdzie padły, zdrowym zaś — zbierać się razem w drugim końcu budynku. Zaraza szerzyć się już poczyniała pośród tej reszty. Każdy, kto jej podległ, odsyłany bywał natychmiast do oddzielnych sal. Zmuszaliśmy biednych ludzi, żeby szli tam dobrowolnie i o własnych siłach, nie chcieliśmy bowiem dotykać ich rękami. Serce krwawiło na ten widok. Zaraza z każdym dniem szalała pośród nas coraz bardziej i jedna sala po drugiej zapełniała się umarłymi i umierającymi, my zaś, zdrowi, cofaliśmy się krok po kroku i pokój po pokoju przed zalewającą falą Śmierci.

Pawilon stał się trupiarnią. Pewnej nocy żywi zerwali się nagle i uciekli, biorąc ze sobą tylko amunicję i żywność w konserwach. Rozłożyliśmy się obozem na wielkim podwórku uniwersyteckim, na drugim końcu którego obozowali bandyci. Jedni z nas stanęli na warcie, inni podjęli się zrobić wywiad na mieście i dostarczyć samochodów, koni, wozów i wszelkich środków lokomocji dla przewiezienia zapasów i małych dzieci i wydostania się z miasta na wzór zorganizowanych gromad robotniczych.

Byłem jednym z owych wywiadowców. Doktor Hoyle przypomniał sobie, że zostawił swój samochód w garażu, prosił, żebym odnalazł maszynę. Wyruszyliśmy po dwóch; ze mną poszedł

Dombey, jeden z młodych docentów. Do domu doktora Hoyla było dobre pół mili. Droga wiodła przez dzielnicę pałacyków prywatnych. Budynki stały tu daleko jeden od drugiego pośród drzew i trawników. Pożary kaprysily w tej dzielnicy: to paliły pojedyncze budynki, to całe ich grupy, to znów jeden dom pozostawiały nietknięty, niszcząc całą grupę. Tutaj również grasowali bandyci. Nieśliśmy rewolwery w rękę i musieliśmy mieć dość zdecydowane miny, bo jakoś nikt nas nie napastował. Lecz przy domu doktora Hoyla zdarzyła się katastrofa. Dom stał nie tknięty przez płomienie, lecz właśnie w chwili kiedyśmy podchodzili, przez okna buchnął dym. Złoczyńca, który podpalił pokoje, schodził właśnie zataczając się ze schodów i ruszył przez ogrody. Z kieszeni sterczały mu butelki wódki, chód zdradzał półprzytomność. Moim pierwszym odruchem było: zastrzelić! Nigdy nie przestanę żałować, że tego nie uczynił. Słaniający się i bełkoczący, z oczyma krwią nabiegłymi i poranioną w bójkach twarzą stanowił najstraszliwszy okaz zbydłecenia ludzkiego, jaki kiedykolwiek oglądałem. Nie strzeliłem niestety. Opryszek oparł się o drzewo i czekał, aż przejdziemy. W tej samej chwili, kiedyśmy go mijali, wyrwał nagle rewolwer zza pasa i strzelił Dombey'owi prosto w głowę. Było to najbardziej bezmyślne, bezprzyczynowe morderstwo. W następnej chwili powaliłem go trupem. Nic to już zresztą nie pomogło. Dombey skonał natychmiast, bez jednego jęku. Wątpię, czy zdążył nawet zdać sobie sprawę z tego, co się stało.

Pozostawiwszy dwa trupy, pobiegłem śpiesznie obok płonącego domu do garażu. Stał tam nietknięty samochód doktora Hoyla. Zbiorniki pełne były benzyny, maszyna gotowa do drogi. W tej to maszynie przemknąłem przez zrujnowane ulice miasta i powróciłem do swojej gromadki, obozującej na uniwersyteckim podwórzcu. Inni wywiadowcy wrócili również, lecz żadnemu nie powiodło się tak dobrze. Profesor Fairmead przyprowadził kuca, ale biedne stworzenie, od kilku dni uwięzione w stajni i pozbawione paszy i wody, tak było słabe, że nie mogło unieść żadnego ciężaru. Niektórzy radzili, żeby puścić kuca samopas, ja jednak nastawałem, żeby go zabrać i w razie głodu użyć na mięso.

Kiedyśmy ruszali z miasta, było nas czterdzieści siedem osób, w tym sporo kobiet i dzieci. Dziekan Wydziału Chemii, człowiek stary i złamany przeżyciami ostatniego tygodnia, jechał samochodem wraz z drobnymi dziećmi kilku rodzin oraz matką profesora Fairmeada. Maszynę prowadził Wathope, młody profesor angielskiego, ciężko ranny w nogę.

Byłby zapewne pogodny dzień letni, lecz dymy płonącego świata przesłoniły słońce, tak iż wydawało się krwawoczerwone, martwe i złowieszcze. Przywykliśmy już jednak do tego krwawego słońca. Za to dym nie przestawał nam dokuczać. Gryzł nam nozdrza i oczy — białka każdy z nas miał przekrwione.

Skierowaliśmy się w stronę południowo-wschodnią, wzdłuż niezliczonych rezydencji podmiejskich, przez okolicę sfalowaną w lekkie wzgórza. Tą drogą jedynie mogliśmy dostać się najprędzej pomiędzy wsie.

Posuwaliśmy się nieznośnie wolno. Kobiety i dzieci nie mogły iść szybko. W tamtych czasach nikomu nie śniło się o długim chodzeniu piechotą, jak chodzi się teraz. Prawdę powiedziawszy nikt z nas nie umiał nawet porządnie chodzić. Dopiero po epidemii nauczyłem się chodzić naprawdę. Podczas naszego wymarszu z miasta szybkość najsłabszego z nas musiała stać się szybkością wszystkich, baliśmy się bowiem rozdrobnienia naszej gromadki ze względu na bandytów. Tych zwierząt drapieżnych było teraz zresztą coraz mniej. Wytępiła ich wielu zaraza, lecz ci, którzy pozostali, stanowili jeszcze dostateczną groźbę. Niejedna piękna willa podmiejska pozostała nietknięta, ale na każdym kroku spotykało się również dymiące ruiny.

Opryszkom widocznie obrzydł już trud podpalania, bo w miarę jak szliśmy, spotykaliśmy coraz mniej świeżych zgliszcz.

Przeszukiwaliśmy niektóre mijane garaże, licząc na jakiś zapomniany samochód lub benzynę. Nie udało nam się jednak nic znaleźć. Ci, co szli pierwsi, zabrali już wszystko. My za to postradaliśmy przy owych poszukiwaniach jednego z naszych towarzyszy, pięknego i młodego chłopca, Calgana. Zastrzelił go, przechodzącego przez trawnik, jakiś bandyta. Innym razem jakieś pijane bydlę umyślnie nas ostrzeliwało. Na szczęście, strzelał na oślep i położyliśmy go trupem, zanim trafił którego z nas.

We Fruitvole, wciąż jeszcze pośród wspaniałej dzielnicy will, znowu dosięgła nas zaraza. Ofiarą padł profesor Fairmead. Dał nam znak, żebyśmy nic nie mówili matce, wystąpił z szeregu i usiadł zgnębiony i ogłuszony na schodkach jakiejś pustej wili. Zwolniłem kroku i posłałem mu ręką ostatnie pożegnanie. Tej nocy rozbiliśmy obóz daleko poza Fruitvole, ale wciąż jeszcze w granicach miasta. I tejże nocy dwukrotnie zwijaliśmy obóz, żeby uciec od naszych zmarłych. Do rana zostało nas trzydzieści osób. Nie zapomnę nigdy dziekana Wydziału Chemii. *Podczas* porannego marszu na twarzy jego żony ukazały się fatalne symptomy. Kobieta chciała usunąć się samotnie z gromady, lecz kiedy wycofała się z szeregu, mąż zażądał, żeby mu pozwolono opuścić samochód i pozostać z nią razem. Opieraliśmy się długo, lecz przystaliśmy wreszcie. Zresztą, czyż to nie było wszystko jedno? Któż mógł wiedzieć, czy sam ocaleje?

Następnej nocy — drugiej nocy naszego marszu, rozłożyliśmy obóz pod Hayward, już za miastem. Nad ranem żyło spośród nas już tylko jedenaście osób. Tejże nocy uciekł samochodem profesor Wathope, ów ranny w nogę. Zabral ze sobą siostrę, matkę i większość naszych zapasów żywności. Tego to dnia, po południu, odpoczywając przy drodze widziałem ostatni samolot w życiu. Tu na wsi, chmury dymu były rzadsze — dostrzegłem więc wyraźnie jak statek powietrzny zachwiał się, zakołował i opadać począł bezwładnie z wysokości około dwóch tysięcy stóp. Nie wiem, co się stało, widzieliśmy tylko, jak opadał wciąż niżej i niżej, kołując. Potem zapewne popękać musiały zbiorniki, w pewnej bowiem chwili samolot runął prostopadle niby kamień. Od owego dnia nie widziałem już samolotów. Nieraz uważnie szukałem ich oczyma po niebie, ufając wbrew nadziei, że może gdzieś na świecie utrzymała się ludzka cywilizacja. Lecz nie. To, co zdarzyło się w Kalifornii, musiało zapewne zdarzyć się na całym świecie.

Minął jeszcze jeden dzień i w Niles było nas już tylko trzech. Poniżej Niles znaleźliśmy pośród drogi profesora Wathope. Samochód był strzaskany, na szosie zaś leżały zwłoki profesora, jego siostry i matki.

Zmęczony uciążliwym, pierwszym w życiu, marszem spałem ciężko tej nocy. Nad ranem sam zostałem na świecie. Canfield i Parsons, moi dwaj ostatni towarzysze, umarli na dżumę. Z czterystu ludzi, którzy schronili się do Pawilonu Chemii — i z czterdziestu siedmiu, którzy wyruszyli z miasta, zostałem ja sam jeden — ja i kucyk. Dlaczego? Nie wiem. — Nie zaraziłem się po prostu. Byłem odporny. Byłem jednym szczęśliwcem na milion — i każdy, kto przeżył Szkarłatną Dżumę był jednym na milion, a raczej nawet na kilka milionów.

Przez dwa dni chroniłem się w jakimś wygodnym rowie, gdzie — o dziwo — nie leżały trupy. Chociaż bardzo przygnębiony i lada chwila oczekujący swojej śmierci, niemniej te dwa dni poświęciłem na odpoczynek, swój i kuca. Trzeciego dnia załadowałem na grzbiet kuca trochę pozostałych konserw i wyruszyłem przed siebie poprzez opustoszały kraj. Dokoła leżały trupy. Nie spotkałem żywej duszy, ale żywności nie brakło. Ziemia nie wyglądała ongiś tak, jak teraz. Była oczyszczona z drzew i zarośli i cała uprawiona. Żywność przygotowana dla milionów ust rosła, dojrzewała i szła na marne. Z pól i ogrodów zbierałem jarzyny, owoce i jagody. Na podwórkach domków wiejskich znajdowałem jaja i łapałem kurczęta. Często też brałem puszki konserw z otwartych, do nikogo już nie należących spiżarni. Dziwne rzeczy działy się z domowymi zwierzętami. Dziczały i rzucały się jedne na drugie. Kury i kaczki wyginęły pierwsze — zdziczały zaś najpierw świnie i koty. Psy przystosowały się szybko do nowych warunków. Zaczęła się istna plaga psów. Nocami pożerały ciała, wyły i wałęsały się wszędzie, w dzień zaś chowały po lasach. Z czasem zauważyłem zmianę w ich sposobie bycia. Z początku chodziły samotnie, bardzo podejrzliwe i bardzo skłonne do bójek. Później jednak zaczęły łączyć się i chodzić stadami. Pies, widzicie, był zawsze zwierzęciem towarzyskim, zanim jeszcze oswojony został za przez człowieka. W ostatnich czasach przed zaraza istniało na ziemi mnóstwo gatunków psów — psy bez włosia i psy o ciepłym futrze. psv tak maleńkie, że stanowiły tylko jeden smaczny kęs dla psów innych, wielkich jak lwy górskie. Po wymarciu ludzi duże psy pożarły małe i słabe. Największe zresztą nie zdołały również przystosować się do życia w dzikości, przestały rozmnażać się i wyginęły. Wreszcie liczne gatunki psów przestały istnieć, a utrzymały się tylko psy średniego wzrostu, podobne do wilków, jakie widzicie obecnie.

— Ale koty nie biegają, stadami. Dziadku — oparł się nagle Hoo-Hoo.

— Kot nie był niadv zwierzęciem towarzyskim. „Kot chodzi własnymi drogami“, jak powiedział pewien pisarz dziewiętnastego stulecia. Chodził zawsze własnymi drogami, zarówno wtedy kiedy człowiek próbował go oswajać, jak podczas długich wieków współżycia z człowiekiem, jak wreszcie dzisiaj gdy zdziczał raz ieszcze.

Konie zdziczały również i wszystkie nasze dawne piękne rasy wyrodziły się tak, że został tylko mały mustang, którego znamy po dziś dzień. Krowy również przystosowały się do dzikości, tak samo gołębie i owce. Że zostało trochę kur, o tym sami dobrze wiecie. Ale dzisiejsze dzikie kurki są zupełnie niepodobne do dawnych.

Ale wracam do swego opowiadania. Wędrowałem więc przez opustoszały kraj. W miarę, jak czas upływał, zacząłem coraz mocniej pragnąć widoku ludzi. Lecz nie spotykałem ani jednej ludzkiej istoty i coraz mi było ciężej i ciężej. Przeciąłem dolinę Livermore i pasmo gór, leżące pomiędzy nią a wielką doliną San Joaquin. Nie widzieliście nigdy tej doliny. Jest bardzo duża i jest siedliskiem i gniazdem dzikich koni. Żyją tam tysiące i dziesiątki tysięcy dzikich stad. Byłem tam przed trzydziestu laty, więc dobrze wiem. Myślicie, że tu, w nadmorskich dolinach jest również sporo koni? To jest niczym w porównaniu z doliną San Joaquin. Dziwną jest rzeczą, że zdziczałe krowy odeszły w góry, widocznie łatwiej im kryć się i wyżyć w tamtych warunkach.

Po wsiach mniej grasowali bandyci, widziałem bowiem wiele nie tkniętych przez ogień domów i całych miasteczek. Pełne jednak były rozkładających się ciał, minąłem je więc pośpiesznie. W pobliżu Lathrope, już zupełnie zrozpaczony samotnością, natrafiłem na parę psów owczarków, które

jeszcze widocznie nie nawykły do wolności i chętnie wróciły w jarzmo człowieka. Owczarki te nie rozstawały się ze mną przez lat wiele i ich potomkowie należą teraz do was; co prawda przez lat sześćdziesiąt rasa owczarków wyrodziła się tak bardzo, że dzisiejsze wasze kudłate bestie są raczej oswojonymi wilkami.

Zajęcza Warga wstał, obejrzał się dokoła, czy kozom nic nie grozi, rzucił okiem na położenie słońca na horyzoncie zachodnim i usiadł znowu, nie kryjąc jednak swego zniecierpliwienia, iż opowiadanie Dziadka tak się rozwleka, Edwin też poprosił o pośpiech, staruszek więc ciągnął dalej.

Niewiele już mam *do* powiedzenia. Udało mi się schwytać konia, konno więc, ze swym kucem i dwoma psami przebyłem dolinę San Joaquin i wjechałem w przepiękną dolinę w pasmie gór Sierra, zwaną Yosemite. Tam, w wielkim hotelu znalazłem ogromny zapas konserw. Paszy też nie brakło, zwierzyzny pełno było po lasach, zaś pstrągów w rzeczce górskiej. Przebyłem tam trzy lata w samotności, której okrucieństwo potrafi zrozumieć ten tylko, kto był niegdyś wysoko ucywilizowanym człowiekiem. Wreszcie nie mogłem wytrzymać. Czuję, że oszaleję.

Byłem zwierzęciem towarzyskim, tak jak pies, i pragnąłem istot swojej rasy. Przypuszczać mogłem przecież, że nie tylko ja jeden spośród ludzi uniknąłem zarazy. Wnioskowałem również, iż po trzech latach bakterie wyginęły zapewne i kraj jest czysty.

Wyruszyłem więc w świat, wraz z koniem, kucem i psami. Znowu przeciąłem dolinę San Joaquin, góry poza nią i znalazłem się w dolinie Livermore. Przez te trzy lata zaszły oszałamiające zmiany. Pola i łąki zarosły tak bujnie, że z trudnością mogłem poznać okolicę, gdzie morze wspaniałej roślinności zatopiło wszelkie dzieła ręki ludzkiej. Widzicie, zboża, jarzyny, drzewa owocowe i winnice, zawsze hodowane i pielęgnowane przez człowieka, były delikatne i wątłe, Zielska zaś i dzikie krzaki były zawsze przez człowieka zwalczane, toteż nabrały mocy i odporności. W rezultacie, kiedy znikła ręka człowiecza, dzika roślinność pochłonęła i zwalczyła roślinność hodowaną. Dokoła snuło się mnóstwo kojotów, i wtedy to po raz pierwszy napotkałem wilki, po dwa, po trzy lub całymi stadami schodzące z okolic, gdzie ukrywały się dotąd.

Wreszcie, dnia pewnego, koło Jeziora Temescal, niedaleko byłego miasta Oakland, natrafiłem na pierwszy ślad istot ludzkich. Och, moi chłopcy, nie umiem opisać wam swego wzruszenia, kiedy zjeżdżając z góry ku jezioru, prowadząc kuca, ujrzałem dym obozowego ogniska, wznoszący się ponad drzewa. Serce przestało mi bić na chwilę. Miałem wrażenie, że wariuję. Nagle usłyszałem płacz dziecka — ludzkiego dziecka. Psy zaszczekały — moje psy odpowiedziały natychmiast. Nie wiedziałem przecież, czy nie sam jeden zostałem na całym świecie. Aż tu nagle dym — i płacz dziecka!

Nad jeziorem, w odległości jakich stu jardów, wyrósł mi przed oczyma ogromny mężczyzna. Stał na jakimś występie skalnym i łowił ryby. Oniemiałem. Chciałem zawołać, ale nie mogłem. Zatrzymałem konia. Ruchem ręki przesłałem pozdrowienie obcemu człowiekowi. Człowiek patrzył na mnie, ale na pozdrowienie nie odpowiedział. Wtedy ukryłem twarz w dłoniach, ot tak, w końskiej grzywie. Wiedziałem już, że to halucynacja i bałem się, że obraz zniknie, jeśli spojrzę raz jeszcze. Obraz zaś był mi tak pożądany, że chciałem zatrzymać go jeszcze chociaż przez chwilę w oczach. Wiedziałem, że pozostanie pod powiekami, dopóki nie spojrzę znowu.

Pozostałem tak, dopóki nie usłyszałem warczenia moich psów i głosu ludzkiego. Jak wam się zdaje, cóż powiedział ten głos?

Powtórzę wam. Głos powiedział: „Skądżeś wylazł, u licha ciężkiego?”

Tak brzmiały owe słowa, właśnie tak. Przywitał mnie w ten sposób twój drugi dziadek, Zajęcza Wargo, kiedy mnie ujrzał na brzegu Jeziora Temescal lat temu pięćdziesiąt siedem. Były to jednak najcudowniejsze słowa, jakie usłyszałem kiedykolwiek.

Otworzyłem oczy. Stał oto przede mną ogromny człowiek, ciemny, włochaty, o ciężkiej szczęce, niskich brwiach i dzikich oczach. Nie pamiętam, jak zsiadłem z konia. Pamiętam tylko, jak chwyciłem jego rękę w obie moje ręce i zapłakałem. Chciałem go uściskać, ale w dzikim życiu stał się podejrzliwy i odskoczył precz. Nie puściłem jednak jego rąk i płakałem dalej.

Głos starowiny zadrżał i załamał się przy tym wspomnieniu. Słabe łyzy polały się po policzkach. Chłopcy patrzyli i chichotali po cichu.

— Płakałem jednak — mówił starzec — i chciałem go uściskać, choć szofer był istną dziką bestią, najohydniejszym człowiekiem, jakiego znałem kiedykolwiek. Nazywał się... to dziwne, zapomniałem jego nazwisko. Wszyscy nazywali go Szoferem — była to nazwa jego dawnego zajęcia — i tak już zostało. Plemię, które założył, do dziś dnia nazywa się Plemieniem Szoferów.

Był człowiekiem gwałtownym i niesprawiedliwym. Czemu oszczędziły go bakterie — nie wiem. Pomimo naszych dawnych filozofii na temat sprawiedliwości — myślę teraz, że sprawiedliwości na świecie nie ma. Po cóż on żył? — Ten potwór moralny, hańba natury, okrutny, bestialski pomiot. Mówić tylko umiał o swoich maszynach, gazolinach i garażach oraz ze szczególnym namiętym upodobaniem o tym, jak podle oszukiwał tych, u których pracował przed wybuchem epidemii... A przecież pozostał przy życiu, podczas gdy zginęły miliony — więcej, miliardy — innych ludzi. Poszedłem z nim do jego obozu i tam ujrzałem ją — Vestę Van Warden, jedyną kobietę. Było to cudowne i straszliwe. Oto ona, Vesta Van Warden, okryta łachmanami, pochylona nad dymiącym ogniskiem i spełniająca najczarniejszą robotę poranionymi, stwardniałymi rękoma. Ona, Vesta, urodzona w przepychu największego bogactwa, jakie świat znał kiedykolwiek. Mąż jej, John Van Warden, oceniany na miliard osiemset milionów dolarów, prezes Izby Magnatów Przemysłu — faktycznie rządził Ameryką. Będąc zaś członkiem Międzynarodowej Izby Kontroli był jednym z siedmiu ludzi, którzy rządzą światem. Ona sama pochodziła z niemniej szlachetnego rodu. Ojciec jej, Philip Saxon, był prezesem tejże Izby Magnatów Przemysłu aż do śmierci. Urząd ten był dziedziczny i gdyby Philip Saxon miał syna, stanowisko odziedziczyłby syn. Lecz jego jedynym dzieckiem była Vesta, kwiat wyrosły z niezliczonych pokoleń najwyższej kultury, jaką wydała kiedykolwiek nasze ziemia. Po zaręczynach Van Wardena z Vestą Philip Saxon naznaczył go swoim następcą. Było to niewątpliwie małżeństwo zawarte ze względów politycznych. Mam przyczyny do przypuszczeń, iż Vesta nigdy nie kochała swego męża w sposób, jaki opisują poeci. Podobne małżeństwa zawierali ongiś królowie, zanim zastąpieni zostali przez instytucję magnatów.

I oto Vesta Van Warden warzy rybną polewkę w glinianym garnczku. Cudowne jej oczy zaogniły się od gryzącego dymu otwartych ognisk. Smutna była jej historia! Ocalała spośród miliona padających wokoło trupów, tak samo jak ocalałem ja i ocalał szofer. Na pięknym wzgórzu Alameda, wznoszącym się ponad zatoką San Francisco, Van Warden zbudował wspaniały pałac letni otoczony stuakrowym parkiem. Kiedy wybuchła epidemia, Van Warden odesłał żonę do owej letniej siedziby. Uzbrojeni wartownicy strzegli bram parku. Do pałacu nie wpuszczano nikogo i nic. Nawet poczta i żywność musiały być uprzednio dezynfekowane. A jednak zaraza wdarła się, zabiła wartowników na posterunkach i służbę przy pracy, zmiatając całą armię domowników, prócz tych, którzy uciekli, by umrzeć gdzie indziej. Vesta sama jedna pozostała przy życiu i sama jedna znalazła się w ogromnym pałacu, który przemienił się w cmentarzysko.

Szofer był jednym ze służących, którzy uciekli. Wróciwszy po dwóch miesiącach, odkrył istnienie Vesty w małym pawiloniku letnim, gdzie się schroniła i gdzie nie było trupów. Szofer był dziką bestią. Pani przeleżała się śmiertelnie i pierzchła w głąb parku. Tej nocy uciekła w góry — ona, której delikatne nogi i wątłe ciało nie zagnało nigdy znoju dróg ni twardziny kamienia. Szofer pomknął za nią i dopędził ją tejże nocy. Uderzył! Czy rozumiecie? Bił ją tymi swymi straszliwymi pięściami i

uczynił ją swoją niewolnicą. Musiała zbierać chrust na ognisko, rozpalać ogień, gotować i spełniać całą upokarzającą robotę obozową — ona, która nigdy w swoim życiu nie spełniła najmniejszej pracy. Teraz zmuszał ją do wszelkiego najcięższego znoju on, szofer, dziki człowiek, który wolał wałęsać się dokoła obozu i patrzeć. Nie robił nic, dosłownie nic. Czasem tylko polował lub łowił ryby.

— W sam raz zajęcie dla szofera — zauważył półgłosem Zajęcza Warga. — Pamiętam go przed jego śmiercią. Był już bardzo stary, a robił wszystko, co było potrzeba, i od innych wymagał roboty. Mój ojciec ożenił się z jego córką, uważacie, i warto było wiedzieć, jak stary walił czasem mego ojca. Szofer to był kawał drania. Nam, dzieciom, kazał kiedyś stanąć wokół, kiedy jadł. I nagle, nie przestając jeść, wyciągnął rękę i tego rozplątał mi głowę kijem, który zawsze miał przy sobie.

Zajęcza Warga potarł pamiętliwie okrągłą głowę, po czym trzej chłopcy znowu spróbowali słuchać Dziadka, chociaż ten ostatni mamrotał teraz tylko jakieś zachwyty na temat Vesty, żony szofera, założyciela plemienia.

— Powiadam wam, nie potraficie zrozumieć całej okropności położenia. Szofer był sługą, czy rozumiecie, sługą ! Do takich jak ona, Vesta, podchodził zgięty w pokornym ukłonie. Ona była panią życia, z rodu ojca i z godności męża. Losy milionów takich jak ów szofer niosła w swej maleńkiej, białoróżowej dłoni. W czasach poprzedzających zarazę najłżejsze zetknięcie z ludźmi takimi jak on uważane było za hańbę. O, widywałem to na własne oczy. Pamiętam niejaką panią Goldwin, żonę jednego z magnatów. Pewnego razu, wsiadając właśnie na lotnisku do swego prywatnego aparatu, niechcący rzuciła parasolkę na ziemię. Któryś ze służących podniósł parasolkę i ośmielił się własnoręcznie podać ją pani — pani, jednej z największych, najpotężniejszych władczyń kraju ! Odsunęła się gwałtownie jak od trędowatego i kazała swojemu sekretarzowi odebrać parasolkę oraz sprawdzić imię zuchwałego stworzenia i dopilnować, żeby niezwłocznie usunięte zostało ze służby. Kobieta takich samych poglądów była Vesta Van Warden. I ją właśnie bił szofer, i ją właśnie uczynił swoją niewolnicą!

...Bill — tak jest, szofer Bill. Przypomniałem sobie to imię. Pierwotna, brutalna bestia, do cna wyzuta z wszelkich delikatniejszych uczuć i rycerskich dążeń kulturalnego człowieka. Nie, nie ma sprawiedliwości, jeśli ten kwiat kobiecości, Vesta, przypadł w udziale owemu szoferowi. Wy, moi chłopcy, nie pojmiecie nigdy potworności tego faktu. Sami jesteście małymi dzikusami i nic prócz dzikości nie znacie. Czemuż Vesta nie dostała się mnie? Byłem człowiekiem wysoce cywilizowanym i kulturalnym, profesorem znakomitego uniwersytetu. Pomimo to przed Szkarłatną Plagą stanowisko Vesty było tak wysokie, że nie raczyłaby zauważyć mego istnienia. Jak więc straszliwe było jej poniżenie w rękach szofera! Trzeba było ni mniej, ni więcej tylko ruiny całego naszego świata, żebym ja mógł poznać Vestę, patrzeć w jej oczy, mówić z nią, dotykać jej ręki — o, i kochać ją, i wiedzieć, że uczucia jej do mnie pełne są życzliwości. Mam powody wierzyć, że ona — ona, Vesta — kochałaby mnie również, gdyby poza mną i szoferem nie było żadnych innych mężczyzn na świecie... Czemuż zaraza, zniszczywszy osiem miliardów istnień ludzkich, nie zniszczyła jeszcze tego jednego człowieka — szofera.

Pewnego razu, kiedy szofer poszedł na ryby, Vesta błagała mnie, żebym go zabił. Błagała ze łzami w oczach. Ale szofer był bardzo silny i bardzo gwałtowny — bałem się. Zdobyłem się jednak czasem na rozmowę. Proponowałem mu mego konia, kuca, psy i wszystko, co posiadałem, jeśli odda mi za to Vestę. Skrzywił się w uśmiechu i potrząsnął głową. Po czym mówić zaczął ubliżające rzeczy ! Mówił, że był w dawnych czasach prochem i pyłem pod nogami ludzi takich jak ja, a teraz właśnie jest szczęśliwy, bo jedna z najznakomitszych pań dawnego świata jest jego służebnicą, gotuje mu strawę i karmi jego dziecię! — Wyście mieli swoje złote czasy przed dżumą — powiedział — a

teraz są moje czasy, i są diabło dobre ! Za żadne skarby nie zamieniłbym się na przeszłość. — Tak mówił, ale nie jego to były słowa. On sam był tylko wulgarnym człowiekiem o najniższych instynktach i usta jego nie znały nic prócz przekleństw.

Powiedział mi też, że jeśli będę spoglądał chciwymi oczami na jego kobietę, to złamie mi kark, a jej sprawi lanie. Cóż miałem począć? Bałem się. Szofer był drapieżną bestią. Pierwszego wieczoru rozmawialiśmy długo z Vestą o naszym drogim, minionym świecie. Mówiliśmy o sztukach pięknych, o książkach, o poezji. Szofer słuchał i wyszczerzał zęby w uśmiechu. Gniewny był i rozdrażniony naszym sposobem mówienia, którego nie rozumiał. Wreszcie wybuchnął: — A. oto właśnie jest Vesta Van Warden, swego czasu małżonka Johna Van Wardena, wielkiego magnata — dumna piękność, moja niewolnica. Eh, panie Smith, zmieniły się czasy, zmieniły się czasy.

— No, chodź tu, kobieto, ściągnij mi chodaki, a żywo ! Chcą, żeby profesor Smith zobaczył, jak doskonale cię wytresowałem.

Zacięła zęby, rumieniec buntu zabarwił jej twarz. Podniósł pięść do ciosu — we mnie stanęło serce z przerażenia. Nie mogłem jej obronić — wstałem więc, żeby odejść i nie być świadkiem takiej hańby. Szofer jednak roześmiał się i zagroził mi biciem, jeśli nie zostanę i nie zechcę podziwiać widowiska. Pod przemocą więc usiadłem przy ognisku, tam, na brzegu Jeziora Temescal, i widziałem, jak Vesta Van Warden uklękała i zdejmowała chodaki owemu małpoludowi o wyszczerzonych zębach i włochatej twarzy.

...Och, wy nie rozumiecie tego, moi wnukowie. Nigdy nie widzieliście nic innego, więc nie wiecie nawet, o co mi chodzi.

— Dostyc zmyślna i w ogóle wcale niczego — dogadywał Szofer, kiedy Vesta spełniała swój potworny, poniżający obowiązek. — Czasem co prawda próbuje mi się trochę buntować, ale dać z lekka po buzi, to od razu mięknie, jak owca. Tak, tak, panie profesorze.

Innym razem powiedział: — Trzeba będzie porządnie wziąć się do roboty i na nowo zapełnić ziemię ludźmi. Ubiegłem ciebie, profesorze. Ty nie masz żony, a układ stosunków na kuli ziemskiej jest teraz bardzo podobny do dawnego raju. Nie pysznię się jednak rolą Adama. Coś ci powiem, profesorze. — Wskazał mi palcem niemowlę: — To będzie twoja żona, jeśli naturalnie zechcesz poczekać, aż dorośnie. Bogata jest, może nie? Wszyscyśmy równi, ale ja tu jestem najgrubszą rybą. Nie, nie chcę być zbyt dumny. Czynię panu ten zaszczyt, profesorze Smith, czynię panu ten wielki zaszczyt i obiecuję rękę mojej i Vesty Van Warden córki. Psiakrew ! że też nie ma Van Wardena na świadka!

Trzy tygodnie nieznośnych męczarni przeżyłem w obozie Szofera. Wreszcie, pewnego dnia, mając dosyć mojej obecności albo tego, co nazywał moim złym wpływem na Vestę, Bill oświadczył mi, że rok temu, wędrując przez pagórki Contra Costa do Cieśniny Carquinez, widział dym ogniska po drugiej stronie Cieśniny. Znaczyło to, że w tamtej okolicy obozują zapewne jakieś niedobitki ludzkie, znaczyło również, iż Bill przez trzy tygodnie ukrywał przede mną tę cenną wiadomość. Wyruszyłem natychmiast z moimi psami i końmi poprzez wzgórza Contra Costa ku Cieśninie Carquinez. Dymu nie dostrzegłem na przeciwległym brzegu, ale za to przy Port Casta stała mała stalowa barka, na którą załadować mogłem swoje zwierzęta. Stare płótno znalezione w barce posłużyło mi za żagiel, po czym morka południowa uniosła mnie przez Cieśninę ku ruinom Vallejo. Tu, na gruzach przedmieścia, odnalazłem ślady niedawnego obozowiska. Liczne muszle ślimaków morskich wskazywały, czemu owi ludzie obozowali tu nad Zatoką. Ludzie ci, jak się okazało później, byli plemieniem Santa Rosa. Szedłem ich śladem wzdłuż dawnego toru kolejowego, poprzez słone bagna aż ku dolinie Sonoma. Tutaj, przy dawnej cegielni w Glenn Ellen, natrafiłem na obóz. Osiemnoście osób ! Dwóch starych mężczyzn, z których jeden nazywał się Jones, dawniej bankier, drugi zaś, właściciel lombardu, Harrison. Pojął on za żonę starszą pielęgniarkę z miejskiego szpitala dla obłąkanych w Napa. Z całego miasta Napa i ze wszystkich wsi i osad tej bogatej i ludnej doliny ocalała tylko owa pielęgniarka. Poza tym w obozie byli jeszcze trzej młodzi ludzie, Cardiff i Hal, ongiś zamożni gospodarze wiejscy, oraz Wainwright, prosty robotnik. Wszyscy trzej znaleźli sobie żony. Halowi, chłopu analfabecie, przypadła w udziale Izydora, najcenniejsza po Veście spośród kobiet, które ocalały. Izydora była jedną z najznakomitszych śpiewaczek świata, dzuma zastała ją w San Francisco. Pewnego razu rozmawiała ze mną obszerniej i opowiedziała mi swoje przygody, zakończone ocaleniem jej przez Hala w lesie Mendocino. Po owym ocaleniu nie pozostało jej nic więcej, jak zostać żoną Hala. Był to zresztą dobry chłopak, pomimo swego analfabetyzmu i nieokrzesania. Posiadał poczucie sprawiedliwości i prawości, toteż Izydora była z nim bez porównania szczęśliwsza niż Vesta z Szoferem.

Żony Cardiffa i Wainwrighta były pospolitymi kobietami, nawykłymi do ciężkiej pracy, silnymi fizycznie — przystosowały się więc łatwo do pierwotności i znoju nowego życia. Jakby na dodatek w obozie znalazło się jeszcze dwóch kretynów z zakładu w Eldredge. Poza tym jeszcze pięcioro czy sześcioro dzieci i niemowląt, urodzonych już po utworzeniu plemienia Santa Rosa. Była też Berta. Dobra kobieta. Zajęcza Wargo, pomimo niechęci twojego ojca, pojąłem ją za żonę. Z czasem została matką twego ojca, Edwin, i twego, Hoo-Hoo. Córka nasza, Vera, zostało żoną twego ojca. Zajęcza Wargo, twego ojca imieniem Sandow, który był najstarszym synem Vesty Van Warden i Szofera.

Tak oto stałem się dziewiętnastym członkiem plemienia Santa Rosa. Po mnie przyłączyło się już tylko dwóch nowych przybyszów. Jednym był Mungerson, potomek magnatów, który, jak mówiłem, wędrował przez osiem lat przez dzikie puszcze północnej Kalifornii, aż wreszcie natrafił na nas. On to właśnie czekał lat dwanaście na poślubienie córki mojej Mary. Drugim był Johnson, który założył plemię Utah. Sam bowiem pochodził z kraju Utah, który leży daleko stad na zachód, aż za wielką pustynią. Dopiero w dwadzieścia siedem lat po epidemii Johnson przywędrował do Kalifornii. W całym Utah odnalazło się tylko trzech ocalonych, sami mężczyźni. Przez całe lata mężczyźni ci mieszkali i polowali razem, aż wreszcie, zrozpaczeni, bojąc się, że wraz z nimi wyginie rasa ludzka na kuli ziemskiej, ruszyli na wschód, ku Kalifornii, poszukując kobiet, które przetrwały epidemię. Z

wielkiej pustyni Johnson wyszedł już sam, dwaj jego towarzysze umarli bowiem w drodze. Johnson miał lat czterdzieści sześć, kiedy do nas dotarł. Ożenił się natychmiast z czwartą córką Izydory i Hala, z czasem zaś jego starszy syn pojął swoją ciotkę. Zajęcza Wargo, która była trzecią córką Vesty i Szofera. Johnson był silnym i samowolnym człowiekiem, wobec czego po pewnym czasie oddzielił swoją rodzinę od plemienia Santa Rosa i założył plemię Utah, mieszkające w San Jose. Plemię to nieliczne, liczące zaledwie dziewięć osób; lecz pomimo śmierci założyciela wpływ jego i siła przetrwały, plemię niewątpliwie rozrośnie się, nabierze mocy i odegra główną rolę w odbudowie cywilizacji świata.

Wiemy jeszcze o istnieniu dwu plemion: Los Angelos i Carmelitos. To ostatnie pochodzi od jednej pary ludzkiej. Mężczyzna zowie się Lopez, jest potomkiem dawnych Meksykańczyków i ma bardzo czarną skórę. Był pastuchem na folwarku w okolicy Carmel, żona zaś jego była służącą w ogromnym hotelu Del Monte. Przed siedmiu laty zetknęliśmy się po raz pierwszy z plemieniem Los Angelos. Dobry zajęli sobie kraj, tylko trochę za gorący. Obecne zaludnienie Ameryki obliczam na trzysta pięćdziesiąt do czterystu ludzi, pomijając, rzecz prosta, możliwość istnienia rozproszonych tu i ówdzie drobnych plemion. Nie słyszeliśmy o nich. Od czasu kiedy Johnson przeszedł przez pustynię, dzielącą Utah od Kalifornii, żaden znak ludzkiego istnienia nie doszedł do nas z zachodu. Olbrzymi świat, znany mi w dzieciństwie i młodości — znikł. Przestał istnieć. Jestem ostatnim człowiekiem, który żył przed epidemią i który pamięta cuda minionych czasów. My, którzy ujarzmiliśmy planetę — ziemię, morza i niebo — my, którzy byliśmy jak bogowie, żyjemy teraz w pierwotnej dzikości nad rzekami Kalifornii.

Rozmnażamy się jednak bardzo szybko. Twoja siostra, Zajęcza Wargo, ma już czworo dzieci. Rozmnażamy się i gotujemy znowu do mozolnego wspinania ku cywilizacji. Z czasem wzrost zaludnienia zmusi nas do rozproszenia się coraz dalej po okolicy. Może setne pokolenie przejdzie już przez góry Sierra, posuwając się z wolna lecz uparcie poprzez wielki kontynent, i stopniowo kolonizując ziemię. Zacznie się nowa wędrówka Ariów poprzez świat.

Lecz powoli stawać się to będzie, powoli. Daleka jest droga na szczyt i trudna!

Upadliśmy tak beznadziejnie nisko. Gdyby był ocalał chociaż jeden fizyk lub chemik. Lecz tak się nie stało. Zapomnieliśmy wszystko. Szofer próbował obrabiać żelazo. Zrobił topór, który używamy do dzisiaj.

Był jednak człowiekiem leniwym, umierając zaś nie pozostawił nam żadnych wiadomości o obróbce metali i budowie najprostszych narzędzi. Cóż ja mogę wiedzieć o takich rzeczach? Byłem literatem i lingwistą, nie chemikiem. Inni ocaleni ludzie nie posiadali prawie żadnego wykształcenia. Szofer odnowił tylko dwie rzeczy starego miasta, plantowanie tytoniu i pędzenie wódki. Kiedyś, pijany do utraty przytomności — zabił Vestę. Pewien jestem, że zabił ją w przystępie pijackiego okrucieństwa, chociaż upierał się zawsze, że Vesta wpadła do jeziora i utonęła.

Chłopcy, przyjmijcie moją radę: strzeżcie się znachorów. Sami siebie nazywają „doktorami“, nadużywając nazwy, która ongiś oznaczała szlachetny zawód. W rzeczywistości są oni kuglarzami, oszustami i pracują nad rozkrzewieniem ciemnoty i przesądów. Kłamią i wyzyskują. My jednak upadliśmy już tak nisko, że wierzymy w ich kłamstwa. Znachorzy są coraz liczniejsi, wkrótce owładną nami i zaczną rządzić. Ale to sami kłamcy i szarlatani. Spójrzcie na młodego Kosookiego, który udaje doktora, sprzedając środki na wszelkie choroby, na powodzenie w łowach, wymieniając obietnicę pięknej pogody na dobre mięso i ciepłe skóry, posyłając ludziom „śmiertelne znaki“ i czyniąc tysiące podobnych okropności. A ja powiadam wam, że on kłamie. Ja, profesor Smith, profesor James Howard Smith, powiadam wam, że Kosooki kłamie. Rzuciłem mu to w oczy. Czemuż nie przysłał mi znaku śmierci? Bo wie dobrze, że mnie ten znak nie zaszkodzi. Ale ty, Zajęcza Wargo,

tak głęboko wsiąkłeś już w bagno przesądów, że gdybyś się obudził i znalazł przy sobie „laskę śmierci“, umarłbyś niewątpliwie. Umarłbyś jednak nie dlatego, że laska ma właściwości zabijania, ale dlatego, że jesteś mały dzikus o ciemnej, nieświadomej głowie.

„Doktorzy“ muszą być zwalczani, zaś wszystko, co zostało zapomniane, musi być wynalezione na nowo. Wobec tego posłuchajcie poważnie tego, co mówię wam w tej chwili, żebyście mogli to powtórzyć waszym dzieciom. Powtórzcie im, że jeśli rozgrzać wodę na ogniu, wypuszcza ona z siebie cudowną rzecz zwaną parą, która jest silniejsza niż dziesięć tysięcy ludzi i może spełniać za człowieka większość jego prac. Istnieje też wiele innych pożytecznych mocy. W piorunach nieba ukrywa się równie jeden z najpotężniejszych pomocników człowieka, który był ongiś jego niewolnikiem i który znów kiedyś nim zostanie.

Zupełnie inną siłą jest „alfabet“. Pomaga mi zrozumieć znaczenie „druku“, tych małych znaczków, które dla was, znających tylko pismo obrazowe, są niepojętymi linijkami. Tam, w suchych piwnicach Wzgórza Telegrafu, dokąd widzicie, że często chodzę, kiedy plemię jest nad morzem — pochowałem mnóstwo książek. W nich zamknięta jest wielka mądrość. Obok nich umieściłem klucz do alfabetu, aby każdy, kto zna pismo obrazowe, mógł również poznać druk. Pewnego dnia ludzie znowu zaczną czytać.

I wtedy, jeśli żaden nieszczęśliwy wypadek nie spotka mojej piwnicy, ludzie będą wiedzieć, że profesor James Howard Smith żył kiedyś i mądrość przodków przechował dla potomnych.

Istniał jeszcze pewien wynalazek, którego niewątpliwie ludzie dokonają raz jeszcze: proch strzelniczy. Umożliwiał zabijanie na odległość. Pewne proszki znalezione w ziemi i odpowiednio zmieszane stanowiły ów proch strzelniczy. Jak się te proszki nazywały, zapomniałem, a może nawet nie wiedziałem nigdy. Ale chciałbym dziś pamiętać i wiedzieć! Zrobiłbym proch na nowo, zabiłbym Kosookiego i uwolniłbym lud od klęski i przesądów.

— Kiedy będę dorosły, oddam Kosookiemu wszystkie kozy, mięso i skóry, które będę miał, żeby mnie nauczył, jak mam być doktorem — oświadczył na to Hoo-Hoo. — Kiedy już zostanę doktorem, zmuszę wszystkich, żeby siedzieli, milczeli i słuchali. Będą się do mnie schodzili ze wszystkich stron, zobaczysz!

Stary uroczyście pokiwał głową i zamruczał: — Jakże dziwnie jest słyszeć słowa i zdania wspaniałej mowy w ustach małego brudnego dzikusa odzianego w skóry. Cały świat przewrócił się do góry nogami z chwilą wybuchu epidemii.

— Właśnie, że ja wcale nie będę siedział i słuchał! — zaprotestował Zajęcza Warga przeciwko uroszczeniom przyszłego „doktora“. Jeśli ci zapłacę za posłanie komuś „znaku śmierci“, a znak nie skutkuje, dostaniesz w łeb tak, że będziesz miał dosyć — słyszysz, Hoo-Hoo? — Chciałbym, żeby Dziadek przypomniał sobie wszystko o tym jakimś prochu strzelniczym — powiedział grzecznie

i cicho Edwin — wtedy wszyscy będziecie skakać przede mną na dwóch łapkach. Ty, Zajęcza Wargo, będziesz wtedy walczył za mnie, ty zaś, Hoo-Hoo, będziesz straszył „laską śmierci“ każdego, kogo każę. Kiedy zaś Zajęcza Warga spróbuje rozbijać ci głowę, Hoo-Hoo, ukarzę go tym prochem. Dziadek nie taki głupi, jak wam się zdaje. Będę go słuchał i pewnego dnia zostanę najsilniejszym z was wszystkich, bo będę miał mądrość.

Starowina smutnie pokiwał głową i odpowiedział: — Tak, proch wynajdziecie znowu. Nic tego nie powstrzyma. Stara historia powtórzy się raz jeszcze. Ludzie się rozmnożą, ludzie znowu zaczną walczyć. Proch umożliwi ludziom zabijanie milionów swoich bliźnich i tylko tą drogą, przez krew i ogień, powstanie nowa cywilizacja, kiedyś w odległej przyszłości. I cóż z tego? Minęła stara cywilizacja — raz jeszcze przemienie nowa. Budować się będzie może pięćdziesiąt tysięcy lat — ale przemienie na pewno. Wszystko mija. Pozostaje tylko materia i energia, w wiecznym ruchu, w

wiecznej akcji, reakcji i przepływie, stwarzająca wciąż od nowa trzy niezmiennie typy ludzkie: kapłana, żołnierza i króla. Z ust dzieci przemawia mądrość wieków. Jeden chce walczyć, drugi panować, trzeci znać siły tajeme. Wszyscy pozostali będą pracować w znoju i cierpieć w pokorze, na ich zaś skrwawionych trupach wyrastać będzie znowu, ciągle bez końca wspaniałe piękno i niepojęty cud cywilizowanego życia. Jeżeli dzisiaj zniszczę moje księgi, schowane w piwnicy — nie zmieni się nic. Zginą czy pozostaną, wszystkie ich stare prawdy odkryte zostaną na nowo, wszystkie stare kłamstwa przeżyte i odtracone. Czyż warto...

Zajęcza Warga zerwał się nagle i szybkim spojrzeniem obrzucił kozy na pastwisku i czerwone słońce popołudnia.

— He, he — mruknął do Edwina. — Stary robi się z każdym dniem nudniejszy. Pora wracać do obozu.

Dwaj pastuszkowie przy pomocy psów zaganiać poczęli kozy i pognali stado w stronę lasu. Edwin został przy starcu i poprowadził go w tym samym kierunku. Kiedy doszli do starego rozstaju, Edwin zatrzymał się nagle i obejrzał wstecz. Zajęcza Warga, Hoo-Hoo, kozy i psy skryli się już za drzewami. Edwin patrzył na mato stadko dzikich koni, które zbiegły ze wzgórz na twarde piasek wybrzeża. Było ich ze dwadzieścia, młodych klaczy, źrebiąt i wyrostków, prowadzonych przez pięknego ogiera, który stanął w pianie *na* skraju fal, wygiął szyję i toczył lśnącymi, dzikimi oczyma, nozdrzami chwytając słońca woń oceanu.

— Co tam — zapytał Dziadek.

— Konie — odparł wnuk. — Po raz pierwszy widzę je na brzegu. Widocznie lwy górskie rozmnażają się coraz bardziej i wypierają konie z Sasów.

Niskie słońce rzucało czerwone strzały światła przez siwe, ciężkie zwały chmur skłębione na widnokręgu. W białym zamęciu bijących o brzeg wód, lwy morskie, zawodząc dzikim przedwiecznym chórem, dźwigały się z fal na czarne, lśniące skały, by walczyć i kochać.

— Chodź, Dziadku — naglił Edwin.

Starzec i chłopak, dwaj barbarzyńcy odziani w skóry, zawrócili i poszli z wolna wzdłuż starego nasypu, lasem, śladem kóz.

Przygotowano na podstawie bookini.pl